



ILLUSTROWANY

N^o 31.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 29 lipca 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.



Niebezpieczna opieka. Rysunek J. Szermentowskiego w Paryżu.

Treść numeru. Niebezpieczna opieka (drzeworyt). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityczny. — Rozmaitości. — Książka Lucyan Godlewski (z drzeworytem). — Wesele góralskie (drzeworyt). — Przesady, komedia w pięciu aktach (dalszy ciąg). — Towarzystwo lekarskie w Warszawie (z 2 drzeworytami). — Szachy. — Rebus. — Karta Turcy europejskiej (cynkotyp). — Korespondencya z Poznania. — Kronika zagraniczna. — Na rozdrozu, powieść (dalszy ciąg). — Milton i Cromwell. — Instynkt i inteligencya zwierząt (dokończenie). — Opozycya w Rzymie za cesarów (dalszy ciąg). — Pamiętnik młodej mężatki, powieść pani Craven (dalszy ciąg).

Kronika tygodniowa.

Gwałtu, co się dzieje!

Gdzie się tylko obrócić, wszędzie skargi i narzekania: „Dyskonto zawieszono! nie płacą!... kredytu niema!...“

Dla ludzi... gołych, co nie nie mają, ale też i nikomu nie są winni, skargi te i narzekania są czémś arcy-niepojętym. Co ich to obchodzi że komuś nie płacą, że ktoś kredytu nie ma, lub dyskontować posiadanych weksli nie może, kiedy oni przez całe swoje życie ani z kredytem, ani z wekslami do czynienia nie mieli?

Inaczej jednak sprawa ta przedstawia się kupcom, przemysłowcom i wogóle finansistom. Giełdowe niepokoje mnożą setkami upadłości, czynią z bogaczy nędzarzy, podkopują handel, przemysł i sprowadzają najfatalniejszą stagnacyą, której skutki przez długi czas uczuwać się dadzą. I nie same jednostki, dotknięte zastojem pieniężnym, ale społeczeństwo całe płacić będzie musiało szkody dzisiejsze.

Co jednakże powoduje te szkody?...

Otóż tego nie umieją wytłumaczyć najtęższe nawet głowy. Popłoch naszych instytucyj finansowych niema żadnej podstawy istotnej, a przecie trwa i sprowadza codziennie skutki opłakane. Mówią jedni, że dzieje się to przez zbyt ostrą ostrożność tych, co sprawy pieniężne dzierżą w swych rękach; inni powiadają, że taka ostrożność przyniesie niezadługo najpomyślniejsze skutki; a inni jeszcze, że to co się dzieje, jest sobie tylko kaprysem, objawem złego humoru ze strony naszych banków.

I oto na smutną dolę naszą przypada równie smutny obowiązek zapisania tych słów, ku wiecznej rzeczy pamiętce:

„Żyjemy w wieku, w którym przypadek jest wszystkim i w którym łatwiej jest zbankrutować, aniżeli... zdyskontować.“

Zeszłej niedzieli odbył się pogrzeb ś. p. Konstantego Hegla, artysty-rzeźbiarza, byłego profesora niegdyś istniejącej w Warszawie szkoły sztuk pięknych. Sędziwy ten artysta (ur. 1799) pod koniec życia uległ najstraszniejszemu z kalęctw: ślepotcie, która go wtrąciła w bolesne ciemności; obrzęd więc pogrzebowy odbył się cicho, przy współudziale garstki tylko życzliwych, co karierę artystyczną nieboszczyka pamiętali i prace jego ocenić umieli.

A jednakże ś. p. Hegel pracował wiele, zacnie i z zamiłowaniem w sztuce, którą bogacił własnymi pomysłami i ku której w sercach innych budził miłość gorącą. Przed laty dwudziestu był on prawie jedynym kierownikiem młodzieży w zawodzie rzeźbiarskim i zarazem pięknym dla niej wzorem. Wówczas to z utworami jego duża publiczność spotykała się bardzo często, a i dzisiaj patrzy na nie ciągle, bo w wielu miejscach zdobią gmachy i place. Hegel w pracach swoich ujmował styl poważny, kierunek klasyczny, smak wyborny i przejęcie się zadaniem swjej sztuki. Pracował wiele... nie dla własnego powodzenia i widoków egoistycznych, ale przez głębokie zamiłowanie artystycznej pracy. I oto umarł w nędzy prawie, złamany, przygnębiony dotkliwie. Zwykła to kolej artystycznego żywota.

Wydawnictwo nót u nas ogranicza się niemal wyłącznie do tańców i śpiewów, i to jeszcze w rozmiarach jaknajdrobniejszych. Dziwnym to się dzieje trybem, boć kraj nasz konsumuje nót co

niemiara. I nie tylko konsumuje, ale płaci za nie bardzo drogo, bogacąc pośredników handlowych, którzy je sprowadzają z zagranicy.

Co prawda, nie mamy tylu kompozytorów, żeby prace ich nastarczyły potrzebom kraju, ale też i nie mamy w druku setnej nawet części tych kompozycyj, które istnieją rzeczywiście na papierze. Niezawodnie też zawód pisarsko-muzyczny nie może się u nas rozwinąć odpowiednio i z tej przyczyny, że wydawnictwo nót nieledwie tu nie istnieje i że to tylko znajduje wydawców, co przestało być nowym i zyskało już sobie w szerszych kołach publiki rozpowszechnienie, często nawet dla samej muzyki szkodliwe. Mówiąc to, mamy na myśli setki wydań, wyłącznie spekulacyjnej natury, rozmaitych piosenek, aryj z operetek i innych przeróbek fortepianowych bez żadnej wartości, takich na przykład polek Drejkenigów, marszów żuawskich, a choćby i sławnej Modlitwy ś. p. Bondarzewskiej, które to utwory w swoim czasie gruntownie utrwały zły smak i legły zawadą na drodze rozpowszechniania pojęć zdrowszych o sztuce.

Tymczasem wszyscy to wiemy wybornie, że nieprzebrane skarby naszej muzyki giną z dnia na dzień w nielicznym odpisach, nie mogąc się doczekać druku. Cały prawie Kurpiński, Elsner, największa część utworów Moniuszki leżą w ukryciu, oczekując radosnej chwili, w której, wydane na widok publiczny, zyskają należne sobie utrwalenie. Kiedy jednak taka chwila nadejdzie... przewidzieć bardzo trudno. Dzisiaj jest ona jeszcze daleką bardzo, a wydawnictwa nasze toteż, tak nieliczne i trwożliwe, wcale niezwykłą toczą walkę z napływem nót zagranicznych.

Aby tę chwilę przyspieszyć i sprawę wydawniczą w kraju poprzec, Towarzystwo muzyczne ogłosiło w tych dniach, że przeznacza rocznie rs. trzysta na wydawnictwo kompozycyj muzycznych, nadsyłanych sobie sposobem konkursu, z których wybiierać będzie na ten cel najodpowiedniejsze. Termin do nadsyłania prac naznaczono do dnia 15 października roku bieżącego. Wszelkie rodzaje kompozycyi, byleby uznane zostały przez sędziów za godne wydania, mogą być wydawanemi, z wyłączeniem wszakże muzyki tanecznej. Pierwszeństwo będą miały dzieła większych rozmiarów, noszące charakter muzyki symfonicznej. Przy nadsyłaniu utworów wokalnych wymagany jest tekst w języku polskim. Kompozytorowie, nadsyłający swoje dzieła do wydawnictwa, nie będą pobierali żadnych honoraryów od Towarzystwa, jednakże po zwroceniu, ma się rozumić drogą rozprzedaży, wyłożonych na wydawnictwo kosztów, reszta całego dochodu, jakie ono przynieść może, należy do autora. Prawo własności co do wydań innych tego samego utworu należy do kompozytora, przed pokryciem jednakże kosztów pierwszego wydania, następnego czynić mu niewolno.

Towarzystwo otrzymało także w tych dniach pozwolenie na wydawanie „Gazety muzycznej“, które poprzec też może skutecznie sprawę muzyki, jeżeli prowadzone będzie umiejętnie, o czém wątpić nie można, skoro na czele tej „Gazety“ stanąć ma p. Józef Sikorski, zasłużony pisarz na polu krytyki muzycznej.

Wyszła z druku księga V „Bajek Lafontaine'a“, wydawanych nakładem J. Noskowskiego. Edycya ta wspaniała, prowadzona z niesłychaną starannością ze strony wydawcy, odznacza się wybornym odbiciem pysznych drzeworytów i umiejętnym tłumaczeniem tekstu.

Tenże sam wydawca puścił w świat „Najnowsze odkrycia i wynalazki w dziedzinie nauk, sztuk i przemysłu“ Figuiera. Książka to bardzo zajmująca i nauczająca, szczególnie dla młodzieży, która z niej dowiedzieć się może, jakimi to drogami geniusz ludzki przychodził do olbrzymich wyników swjej pracy. Jest to jednakże historia wynalazków i odkryć, nie obejmująca rezultatów pracy wynalazczej z lat ostatnich. W tekście tego dzieła znajduje się mnóstwo objaśniających drzeworytów.

Zeszłej środy na scenie teatru Letniego debiutowała panna Biron, w roli Helenki z „Radców pana radcy.“ Rola to trudna, debiutantka jednakże wywiązała się z niej bardzo dobrze. W naiwności młodego dziewczęcia niezawsze wprawdzie dźwięczała szczerość uczucia... była ona chwilami sztuczną, naciaganą, ale wogóle wspierała ją i nadawała jej pozory prawdy sztuka aktorska, w której panna Bironówna zyskała już sobie pewną rutynę. Głos dźwięczny, postawa przyjemna, ruchy żywe, ale nieprzesadzone, a przytém obycie się ze sceną stanowią przymioty debiutantki. Co do talentu, panna Biron posiada go niezawodnie, w jakim zaś stopniu i kierunku, pokażą to dalsze jej występy. Helena dobrze wroży o debiutantce, ale ocenić jej napewno nie pozwala.

Tegoż samego wieczoru w obrazku W. Szymanowskiego p. t. „Na ulicy“ wystąpił po raz drugi p. Stromfeld. I to było zadanie bardzo trudne, szczególnie po Królikowskim, który monodramat ten odgrywał po mistrzowsku; debiutant jednak trudności przewycięzył szczęśliwie i gdyby stopniowanie siły w grze jego uwidatniło się lepiej, byłaby ona bez zarzutu. P. Stromfeld ma głos bardzo sympatyczny, ale jeszcze surowy (początki zawsze trudne); głos też najwięcej mu brudził. Bądź co bądź, drugi występ jego zapewnił nas, że debiutant z pożytkiem dla sceny pracować może.

Przed kilku dniami „Wiek“ we wstępnym swym artykule po raz drugi już podniósł sprawę oszczędności tak zwanych *groszowych*. „Rozwinięty zmysł oszczędności w narodzie—powiada autor rzeczonoż artykułu—to potęga pierwszorzędna. Bezpośrednio wpływa on na podniesienie dobrobytu jednostek i rodzin, pośrednio zaś na umoralnienie społeczeństwa.“ Bardzo słusznie też wzywa osoby, przewodniczące we wszelkiego rodzaju zakładach większą liczbę pracowników zatrudniających, aby podwładnych swych zachęcały do tworzenia i zasilania w każdym takim zakładzie kas groszowych, na wzór tych, które tutejsze Towarzystwo dobroczynności przy ochronach warszawskich zaprowadziło.

Zacnąj tej odezwie z całego serca przyklaskujemy; zawsze bowiem *drobne oszczędności* uważaliśmy i uważamy za najtrwalszą podstawę dobrobytu jednostek, a przez nie społeczeństw całych. Niezupełnie jednak zgadzamy się na to, co autor w dalszym ciągu mówi o potrzebie zakładania u nas kas groszowych *szkolnych* dla dzieci. Autor utrzymuje, że kasy tego rodzaju *przedewszystkiem* zaprowadzane być winny przy szkołach elementarnych, oraz pensyonatach prywatnych; nam się zaś zdaje że przedewszystkiem, a nawet *jedynie*, jak nateraz, należałoby je urządzić przy naszych szkołach rzemieślniczo-świątecznych.

Autor artykułu w Wiek powołuje się na przykład Gandawy, gdzie we wszystkich szkołach, poczynając od elementarnych, gromadzących dzieci najuboższe, kasy podobne z wielkim powodzeniem istnieją i najpiękniejsze wydają owoce. Nie przeczymy temu; lecz jednocześnie uważamy za potrzebne nadmienić ze swjej strony, że stan przemysłowo-społeczny Gandawy nieskończenie różni się od takiegoż stanu Warszawy i całego naszego kraju. Gandawa jest miastem przeważnie fabrycznym, w którym dwie trzecie ludności stałej zajmuje się przemysłem. Posiada ona liczne przedsiębiorstwa lnu, bawełny, fabryki sukna, papieru, obić papierowych i t. d., a szczególnie kwitnie w niej udoskonalona hodowla kwiatów, która w *czterystu kilkudziesięciu* cieplarniach tysiące rąk dziecinnych, zarówno chłopców jak i dziewczątek, zatrudnia. Tam więc powiedzieć można śmiało, że każde dziecko, począwszy od siódmego roku życia, zaczyna już pracować na siebie, przyczem jednakże obowiązkowo i do szkoły uczęszczać musi.

U nas położenie zupełnie jest odmienne. Do

szkół zwyczajnych, czy to elementarnych, czy średnich lub prywatnych, nie chodzą dzieci *zarobkując*, lecz takie tylko, które zostając na opiece i utrzymaniu rodziców, nie mają własnych pieniędzy, oprócz tych chyba, które im rodzice na laskawie wydzielają. Jedyne wyjątki stanowią tu szkoły rzemieślniczo-swiąteczne, do których uczęszczają terminatorowie, po większej części otrzymujący już za swą pracę jakąś zapłatę, a tym samym zdolni do *prawdziwej*, płodnej w błogie następstwa oszczędności.

„Niechaj się dzieci nasze od pierwszych lat życia nauczą po groszu oszczędzać, a będą na starość oszczędzały ruble“—pisze autor rozbiętego artykułu. Zapewne; ale w takim razie potrzeba przedewszystkiem, żeby miały z czego oszczędzać. Ekonomia uczy nas, że *oszczędność jest nagromadzeniem zysków, osiągniętych z poprzedniej pracy*. Tam więc, gdzie niema pracy zarobkującej, nie może być i oszczędności, w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, lecz będzie jedynie tak zwane odejmowanie sobie od ust, w celu uzbierania jakiegoś fundusiku.

Nie przeczmy że i ten sposób, pod względem czysto moralnym, przynieść może niemałe korzyści. skoro przyucza dzieci do powściągnięcia łakomstwa, do miarkowania swych potrzeb, do pewnej słowem zaradności oględnej, która w ciągu całego życia tak bardzo dla każdego z nas jest pożądana. Ależ do osiągnięcia tego celu nie potrzeba wcale osobnych instytucyj. Niech sami rodzice, dający dzieciom swym do rozporządzenia pewne kwotki miesięczne czy tygodniowe, biorą na siebie obowiązek nakłaniania ich do tego rodzaju oszczędności. Niech w każdym choć trochę najmniejszym domu będą w tym celu skarbanki z imionami dzieci i do tych niech one składają uciulane grosiki, a gdy się uzbiera złotówka, wtedy niech ojciec odda ją na procent do rządowej kasy oszczędności. Emulacja między dziećmi jednej rodziny, lub kilku rodzin zaprzyjaźnionych, które z nich prędzej dojdzie do posiadania własnej książeczki i uzbierania w niej największej kwoty piędzi, i tu równie silny, a nawet silniejszy stanowiąc może bodziec, niż w szkołach i pensjonatach.

Powtarzamy więc że u nas i w dzisiejszym stanie naszego przemysłu zakładanie kas groszowych tylko przy szkołach rzemieślniczo-swiątecznych, a może jeszcze i przy szkole handlowej, uważamy za potrzebne i myśl tę najgoręcej popieramy; istnienie zaś kas podobnych przy szkołach elementarnych, średnich i pensjonatach poczytujemy za zbyt czyste. Takie jest nasze przekonanie, które, ze względu na ważność poruszonej przez „Wiek“ sprawy, mieliśmy sobie za obowiązek wypowiedzieć. Jeżeli się mylimy, to w każdym razie odezwanie się nasze wywołać może bliższe tej kwestyi wyjaśnienie.

ROZMAITOŚCI.

Dwa najdawniejsze opisy Warszawy.

Aczkolwiek miasto nasze jest bardzo dawne i w dziełach historycznych, tudzież geograficznych, nie było omijane, pierwszy wszelako wyłączny drukowany opis w języku polskim wydany został w r. 1643 przez Adama Jarzembkiego, rodem mieszczanina tutejszego. Jest to dziełko nadzwyczaj teraz rzadkie, gdyż dotąd w jednym tylko egzemplarzu znane, pisane wierszem dość niezgrabnym, często nawet śmiesznym, pod tytułem: *Gościniec albo krótkie opisanie Warszawy z okolicznościami* (okolicami), dla kompanii dworskiej, przez Adama Jarzembkiego, muzyka J. K. M. i budowniczego Ujazdowskiego, wydany R. P. 1643. Format dwunastki, druk gotycki. W przypisaniu Adamowi Kazanowskiemu powiada, iż „wiedząc jako w cudzych krajach miasta główne opisują dla wiadomości wszem narodom, co jest w którym do widzenia, przeto i on ważył się opisać sejmowe miasto Warszawę z kościołami, pałacami, z dworami, z ogrodami, z okolicznościami.“

Stosownie też do tego celu, autor zajmuje się osobliwościami znajdującymi się wewnątrz pomienionych miejsc i gmachów, opisuje położenie i zewnętrzny kształt, zastanawia się nad przepychem i bogactwami, które dokładnie przedstawia, bynajmniej zaś nie dotyka historii lub statystyki miasta. Właściwie jest to raczej wierny obraz zamieszkiwania ówczesnych panów, osiadłych wtedy w Warszawie, aniżeli opis samego miasta. Z tym wszystkiem dziełko to do historii Warszawy bardzo jest ważne i ciekawe. J. U. Niemcewicz, posiadając ów jedyny egzemplarz, przełożył według swego upodobania wiersze Jarzembkiego na prozę i tak przerobione dziełko, ze znacznymi opuszczeniami, przedrukował w Warszawie w r. 1821 w tomie 3-im Pamiętników o dawniej Polsce. Pożądaną zatem byłoby rzeczą, aby mogło być kiedy pawtórnie, bez żadnych zmian, ogłoszone.

W sto lat prawie potem podobnież dziś rzadki opis tutejszego miasta skrył Krystyan Henryk Erndtel, doktor nadworny Augusta II, i wydał w Dreźnie w języku łacińskim pod tytułem: *Varsavia physice illustrata, sive de aere, aquis, locis et incolis Varsaviae, eorundemque moribus et morbis tractatus, cui annexum est Viridarium vel Catalogus plantarum, circa Varsaviam nascentium*. Dzieło w ówczesnej, przypisane wspomnianemu monarsze i ozdobione trzema rycinami, przedstawiającymi widok ogólny Warszawy, kolumnę Zygmunta i Marymont. Składa się z dwóch części; z tych pierwszej ma sześć rozdziałów. W pierwszym autor podaje wiadomość historyczną o mieście, jego położeniu, przedmieściach, kościołach parafialnych i zakonnych, szpitalach, o znakomitych pałacach i ogrodach. W drugim mówi o powietrzu warszawskim i gatunkach ziemi. Tu także opisuje skamieniałości, zwierzokrzewy w okolicach Warszawy i niektóre muszle tu znajdujące. Następnie zamieszcza obserwacje meteorologiczne i panujących wiatrów, robione przez cztery lata, rachując od stycznia 1725 roku, a kończąc w grudniu 1728 r. Rozdział trzeci zajmuje się rozbiorem wód i stosownie do ówczesowego stanu chemii, zdaje sprawę o składzie siedmiu główniejszych zbiorowisk wód. W rozdziale czwartym opowiada o mieszkańcach Warszawy, o ich pokarmach, temperamencie i obyczajach. Rozdział piąty traktuje o chorobach panujących w mieście. Szósty o odwiedzeniu chorych. Potem zdaje sprawę o szeregach chorobach z roku 1720; z wykazaniem sposobu jakiego używał do leczenia. Na końcu znajduje się katalog roślin właściwych okolicom Warszawy, z oddzielną przedmową, zawierającą 132 stronice. Rośliny przytoczone w języku łacińskim, a do niektórych tylko przyłączone i nazwiska polskie. Według zdania znawców, ta ostatnia praca niewielką ma wartość; niemniej jednak całe dzieło nie przestaje być bardzo ważnym do historii miasta, tudzież topografii jego medycznej.

Przegląd polityki zagranicznej.

28 lipca.

Wybuch wojny serbsko-tureckiej wprowadził do sprawy wschodniej nowy żywioł zawikłania. Zdawało się, że ten wybuch przyspieszy katastrofę i pociągnie za sobą bezpośrednio szerszą wojnę, której dyplomacya starała się zapobiedz wszelkimi siłami. Jeżeli przypomniemy sobie, jak dalece mocarstwa europejskie obawiały się tego wybuchu, jak energicznie wpływały na rząd serbski i czarnogórski, żeby je powstrzymało od działania, to nie będziemy się wcale dziwić obawie, jaką wywołało rozpoczęcie kroków nieprzyjacielskich z ich strony. Dyplomacya atoli ma na to wszystkie sposoby. Gdy chodziło tylko o powstańców, wszystkie rządy zdawały się interesować ich losem, wszystkie porozumiewały się, celem przyjęcia im w pomoc i nikomu wtedy prócz Anglii nie przyszło do głowy powoływać się na zasadę nieinterwencji. Rzeczywiście-bo też sprawa powstania była jeszcze dość blahą, a raczej niedość silną dla rozdmuchiwania ognia w całej Europie.

Ale kiedy na miejsce prostego powstania wystąpiła formalna wojna i kiedy tym sposobem wzmożło się niebezpieczeństwo rozszerzenia pożaru, wtedy naraz dały się słyszeć ze wszystkich stron głosy o potrzebie nieinterwencji. Publicznie potępiając ks. Milana za jego nierozsądne wyrwanie się z wojną, mocarstwa oświadczyły dość wyraźnie, że nie może on liczyć na żadną z ich strony pomoc i że dopiero po ukończeniu walki nierozsądnie zaczętej postarają się odpowiednio uregulować stosunek Porty do jej poddanych bezpośrednich i pośrednich. Taki był, o ile się zdaje, rezultat narad w Reichstadzie i Salzburgu, a ministrowie: Derby, ks. Décazes i p. Melegasi nie tylko nie zamęcili tej decyzji żadną wzmianką o możliwości interwencji, lecz jeszcze silniej zaakcentowali potrzebę obojętnej obserwacji wypadków na Wschodzie. Nie wdając się w rozpoznawanie kwestyi, czy owa zasada nieinterwencji jest w danej chwili konieczną, ani też czy jest zgodną z pojęciem ludzkości, po tylokrotnych zachętach okazywanych powstaniu hercegowińskiemu, musimy wyrazić powątpiewanie co do tego, czy będzie mogła długo przewodniczyć polityce mocarstw najsilniej interesowanych.

Nie ulega już dziś wątpliwości, że szala zwycięstwa przechyliła się bardzo na stronę Turcyi. Wyprawa Czerniajewa do Bułgarii nie powiodła się stanowczo; na wszystkich innych punktach Serbowie stracili dotychczasowe stanowiska zaczęte i muszą się dziś bronić przed napastującymi ich Turkami. Podobnież wyprawa ks. Mikołaja czarnogórskiego natrafiła na tak silny opór pod Birziną, że książę musiał się cofnąć ku granicy Czarnej Góry. Otóż zdaje się nam, że taki niekorzystny dla Słowian obrót rzeczy może najbardziej wystawić na szwank ową powszechnie głoszoną nieinterwencją. W razie zwycięstwa Słowian, zadanie dyplomacyi byłoby łatwiejsze, gdyż Anglia zgodziłaby się niezawodnie na pewne zmiany terytorjalne, na którychby Serbowie i Czarnogórcy poprzestali z ochotą, a Turcy musiałaby je przyjąć. Lecz w razie zwycięstwa Porty sytuacja stanie się daleko trudniejszą. Serbia i Czarnogórze nie porwały z pewnością za oręż bez namysłu i mają wszelkie prawo liczyć, jeśli nie na korzyści, to przynajmniej na to, że nie w tej wojnie nie stracą. Jak zaś pogodzić tego rodzaju pretensje z położeniem zwyciężonych, to wielkie pytanie. Dlatego więc sądzimy, że dzisiejszy zły dla Serbii obrót akcji wojennej jest ciężką próbą powziętą przez Europę polityki. Nie chcąc czekać tej smutnej i niebezpiecznej dla wielu ewentualności, że Turcy wejdą do Belgradu, niektóre rządy zastanawiają się już dzisiaj nad sposobem zapobieżenia złemu i tym samym, naturalnie, zrywają, choć w przypuszczeniu dopiero, z interwencją. Dotąd wszelako jedna tylko Francya dała się słyszeć z nieśmiałą propozycją kongresu europejskiego, dla załatwienia kwestyi wschodniej. Niewiadomo czy propozycja ta znalazła chętne ucho w gabinetach innych wielkich mocarstw, gdyż prawie wszędzie pominięto ją milczeniem. Ale im dłużej się przewleka obecna wojna, im mniejsze są szanse powodzenia Serbów, tym trudniej zaiste przychodzi wierzyć w możliwość utrzymania dalszego zlokalizowanej walki i tym silniej narzuca się każdemu nieuprzedzonemu umysłowi alternatywa: kongres europejski, albo wojna europejska. Innej drogi wyjścia nie widzimy.

We Francyi w ciągu ubiegłego tygodnia stronnictwa wsteczne odniosły wielkie zwycięstwo nad republikanami. Senat odrzucił uchwalony przez izbę projekt ministra oświaty Waddingtona, mający odebrać fakultetom prywatnym (przeważnie klerykalnym) prawo udzielania stopni akademickich, nadających przywileje w administracji i zawodach naukowych. Praktyczna doniosłość tego prawa dzisiaj, gdy fakultetów prywatnych Francya ma niewiele, jest bardzo mała, ale mimo-to uchwała senatu zrobiła silne wrażenie, jako wskazówka usposobienia tej izby i jako nowy objaw pewnego antagonizmu między dwoma ciałami władzy prawodawczej.

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times.)

KSIĄDZ LUCYAN GODLEWSKI.

„Błogosławieni umarli, którzy w Panu umierają. Odtąd już mówi Duch, aby odpoczęli od prac swoich, albowiem uczynki ich za nimi idą.“ (Objawienie św. Jana, r. 14 str. 13.)

czamy nieodżałowanej pamięci księdza Lucyana Godlewskiego, kanonika mohylewskiej kapituły metropolitalnej, magistra św. teologii i proboszcza białynickiego kościoła na Białej-Rusi.

Urodził się na Litwie, w gubernii wileńskiej, we wrześniu 1818 roku, z Kazmirza i Franciszki

dalsze ich życie. A że rodzice ś. p. księdza Lucyana byli bogobojni, w wierze swęj ugruntowani, przeto całą swą cnotę i wyższość moralną przeleli na syna, który też nazawsze w duszy ją zachował.

Roku Pańskiego 1828 Lucyana Godlewski zapisał się na listę uczniów gimnazjum w Wilnie.



Wesołe góralskie. Kopia obrazu Lipińskiego w Krakowie.

Są ludzie, których ciała oblane łzami składają pozostali do grobu, a wzorowe, pracowite życie, poświęcenie się dla bliźnich, dobre czyny, zapewniają im pamięć i cześć, przechodzące od pokolenia do pokolenia. Do liczby takich ludzi zaliczamy

Iwaskiewiczówny. W tych czasach jeszcze powszechnie kwitły prawdziwa pobożność, bojaźń Boża, głęboka wiara i niezłomna powaga rodziców. Słowo ojca lub matki było prawidłem dla dzieci, było podwaliną, na której budowało się

sał się na listę uczniów gimnazjum w Wilnie. Corok do wyższej przechodząc klasy, z chlubą ukończył zupełny kurs nauk gimnazjalnych 1834 roku. Następnego roku 27 sierpnia wstąpił do seminarium dycieczalnego. Zwierzchność semina-

ryjna oceniła odrazu niepospolitą zdolność i postęp w naukach młodzińca, a widząc wzorowe pod każdym względem prowadzenie się jego, zaliczyła Lucyana Godlewskiego do uczniów akademii duchownej. Z największą łatwością, jako celujący uczeń, otrzymał stopień magistra św. teologii i został wyświęcony na kapłana 18 maja 1841 roku przez biskupa Jędrzeja Benedykta Kłagiewicza, który, opierając się na świadectwie rektora akademii, zaszczycił księdza Lucyana Godlewskiego 15 listopada tegoż roku godnością adjunkta akademii wileńskiej. Po przeniesieniu akademii do Petersburga 1842 roku, ksiądz Godlewski otrzymał posadę profesora w seminarium w Wilnie, gdzie nie tylko z bogactwami wykładem wyznaczonych sobie przedmiotów, lecz kształcił serca uczniów zdaniem swoim, zawsze trafnym i gruntownym. Cóż anielskiego przebijało się w jego obliczu; dziwna słodycz, łagodność i dobroć cechowały go w całym życiu.

Konferencje, które wówczas dla kleryków odbywał, były nie tylko pouczające, lecz porywające, rozniecające w sercach ogień miłości Boga, bliźniego i religii. Nie każdy profesor ma dar zachęcania do nauki i przywiązywania do siebie swoich uczniów. My ś. p. ksiądz Godlewski tak ceniliśmy, tak gorącośmy go kochali, że gdyby



Ksiądz Lucyan Godlewski.

1-4

od nas zażądał był rzucenia się w ogień, spełnilibyśmy jego wolę.

Od 25 października 1846 roku oddał się całemu życiu kontemplacyjnemu, najprzód w Wilnie, a potem od r. 1848 w Chodarkowie u ks. ks. kapucynów na Wołyniu. Umocniwszy w samotności duszę w tém wszystkiém co piękne, wzniosłe, chlubne i święte, znowu w 1852 r. stanął jako robotnik w winnicy Chrystusowej, a mianowicie zamieszkał w Kijowie, gdzie był wtedy proboszczem ś. p. prałat Brynk.

Nieodżałowanej pamięci ksiądz Lucyan Godlewski, wkrótce po przybyciu do Kijowa, zaśląnął swoją wymową. Skupiło się około ambony z której kazał to wszystko, co czuć umiało, co rozumiało wyższy polot myśli i dążeń każdego, słowem cała ówczesna młodzież uniwersytecka i cała inteligencja zbierała się na kazania księdza Godlewskiego, który i jako kapłan, i jako mówca umiał zająć umysły, poruszyć serca i z najdrażliwszych okoliczności wyjść z tryumfem. Tam zdobył sobie sławę znakomitego mówcy — tam, jak wszędzie, zyskał uznanie pracy i cnót swych.

Młodzież uniwersytecka pokochała całym sercem i umiał ją ku sobie pociągnąć. W niewymownie delikatny sposób potrafił zbadać jej duchowe i materialne potrzeby. W masie uczących się by-



Sala posiedzeń Towarzystwa lekarskiego w Warszawie.

185

to wielu takich, co po ciężkiej umysłowej pracy nie mieli czem zasilić ciała swego, albo musieli opuszczać leky, z powodu braku niezbędnego odzienia. Znalazła się przecież zaena, a tajemnicza ręka, która skrycie tym potrzebom zaradzała. Spotykałem niejednokrotnie dawnych studentów uniwersytetu kijowskiego, znakomitych i na wysokich w społeczności szczeblach stojących mężów, którzy ze łzami opowiadali, jak otrzymywali wsparcie i całe kursa przechodzili, nie wiedząc długi czas, kto był ich opiekunem i dobrodziejem, Później dopiero się wykryło, że był nim s. p. ksiądz Godlewski.

Zmarły kanonik nie opuścił żadnej sposobności, gdy trzeba było sprostować fałszywe pojęcia bądź o religii, bądź o kościele, bądź o przeznaczeniu każdego chrześcijanina; albo gdy okazała się konieczność usunięcia błędów, które z taką łatwością do młodych główka zalatują. Pociągnął ku sobie i przekonał zapaloną młodzież, iż się myli izbacza z uitorowanej wiekami dobrej drogi, jest rzeczą nader trudną i niekażdy tego dokona, przy największych nawet zdolnościach. Ale s. p. ks. Godlewski tak był szczęśliwy, że gdzie się tylko ukazał, zaraz go otaczała serdeczna młodzież i wszelkie dobre rady chętnie od niego przyjmowała.

Będąc w Kijowie, ułożył i wydał dziełko p. t. „Książka do nabożeństwa, ku czci i chwale Boga w Trójcy świętej i t. d. Wydana ona została w Kijowie w drukarni uniwersyteckiej 1859 r. Zawiera str. 886 in 8. Książka ta niezmiernie wzięta i dawno już wyczerpana, czeka nowego wydania. Napisał też „Oltarzyk Ostrobramski,“ wydany w Paryżu, kosztem wielce zasłużonego krajowi Wilezyńskiego.

Ks. biskup łucko-żytomirski, Kasper Borowski, oceniając zasługi s. p. księdza Godlewskiego, zaliczył go 1857 r. 16 kwietnia do grona honorowych kanoników. To uznanie zasług swoich przez tak czcigodnego pasterza, wysoce cenil do samej śmierci. Chociaż potem był już aktualnym kanonikiem archikatedry mohylewskiej, zawsze pragnął być zaliczonym w rubryce łucko-żytomirskiej dyecezyi i zawsze z największą serdecznością odzywał się o tamecznej kapitule.

S. p. kanonik Godlewski prenumerował wiele pism peryodycznych krajowych. Lubil czytać i dużo czytał. Codziennie, przed spoczynkiem, napałwał się czytaniem i pozwalał sobie tej rozkoszy nieraz do północy.

Pomimo chęci i woli s. p. kanonika, ks. arcybiskup metropolita Żyliński przeniósł go do archidyecezyi mohylewskiej 30 stycznia 1858 roku i porucił zarządowi jego kościół parafialny w miasteczku Białyniczach na Białej-Rusi. Lecz zaledwie zajął się ozdobą tej starożytniej świątyni, gdy pożar, obracając w popiół większą część miasteczka, zniszczył i kościół białynicki 15 sierpnia 1859 r. Na pierwszy widok ruin kościoła i klasztoru, w którym się całe duchowieństwo i służba mieścili, na samą myśl, jakim sposobem wzniesie z gruzów świątynię, w miejscu gdzie ani robotników, ani materjałów potrzebnych, ani znacznego funduszu mieć nie można było, zalał się rzewnymi łzami i upadłszy na kolana, modlił się długo. To też Bóg natchnął sługę swego taką siłą, taką wytrwałością, że choć przez wiele lat pracował, wysilał się i jawnie tracił zdrowie, w końcu zeszłego roku stanął u kresu swoich pragnień i dom Boży nie tylko z gruzów dźwignął, lecz prześlizgnie ozdobił w obrazy pierwszorzędnych artystów-malarzy, a zakrystą w aparata i bieliznę kościelną zaopatrył.

Wielka szkoda, że cztery obrazy kolosalnej wielkości, roboty p. Władysława Majeranowskiego, nim doczekały się możności pomieszczenia ich na ścianach kościelnych, zniszczały w pakach.

S. p. ksiądz Lucyan o sobie zupełnie zapomniał, nie dbając nawet o niezbędne wygody. Po spaleniu się kościoła, przez ciąg kilku tygodni mieszkał na korytarzu, bez dachu, na ciągu i wilgoci. Jeździł w bardzo niewygodnej kałamaszce o jednym koniu—jedynie dlatego, że całą swą pensją i dochód kościelny obracał na dom Boży.

Dnia 22 lutego 1861 roku ks. Godlewski za-

czony został do grona kanoników kapituly metr. mohylewskiej, a zarazem został członkiem konsystorza.

Obok posług parafialnych w zruinowanym kościele i uciążliwej fabryki, utrzymywał jeszcze w archikatedrze kolej w celebrowaniu i po całych tygodniach zasiadał na sesjach w konsystorzu. Łatwo pojąć, ile ten człowiek pracował dla dobra ogółu. Ale nie tu koniec jego pracy. Kształcił synów ubogiej szlachty na organistów. Był nawet czas, że nauczyciela z zagranicy sprowadził, a tym sposobem dał kilkunastu biednym ludziom pewny sposób do życia. Nasz niestrudzony kapłan miał szkółkę dla dzieci, które uczył głównie zasad świętej wiary, a potem czytać i pisać. Największą jego rozkoszą było udzielanie jałmużny. Ubodzy oblegali drzwi i okna jego mieszkania, a każdemu pociechu wkładał do ręki, co dać był w możności. Siórotki, wdowy i wszyscy nieszczęśliwi do niego, jak pisklęta pod skrzydła matki, tulili się z ufnością; kochał on całą mocą duszy swój Boga i bliźnich.

Trzeba było brać wzór z jego anielskiej cierpliwości, wyrozumiałości i poświęcenia się w czasie uroczystości, oraz przy różnych posługach duchowych i wymaganiach ciemnego wiejskiego ludu. On tylko mógł wszystkim dogodzić. Był to z powołania proboszcz, a właściwie ojciec dla swoich parafian. W każdej porze z chęcią niósł posługi duchowne. Nie było chatki, do którejby nie wstąpił, w którejby słowa pociechy i błogosławieństwa nie zostawił; ile mógł, zaradzał potrzebom zubożalej szlachty, obdarzał dziatki książkami do nabożeństwa, krzyżykami i obrazkami. Rozumiał język ich i umiał przemawiać do ich pojęć i serc. Biedna szlachta—o! jakże rzewnie płakała i obléwała łzami zwłoki ukochanego proboszcza!

Od chwili wyświęcenia się na kapłana, pomagał także ten szlachetny człowiek rodzinie, przykładał się do wychowania synowców, których pragnął wyprowadzić na poczciwych i użytecznych społeczności ludzi. Śmierć daje mi prawo zedrzyć zasłonę z tej tajemnicy, dla pociechy i zbudowania żyjących.

S. p. kanonik Godlewski żył sercem i wszystko brał do serca; ostatnia też choroba jego objawiła się w sercu. Na chorobę tę niema na tym padole płaczu lekarstwa. Robił wszystko co zalecali go dni i życzliwi lekarze, ale nie nie pomogło. W ciągu trzech lat mocno cierpiał. Dwa razy udało się nauce odwrócić uderzenie paralityczne; lecz 10 lutego bieżącego roku anioł śmierci stanął przed nim, aby odebrać nam tak wytrwałego pracownika, tak wzorowego kapłana, tak szlachetnego przyjaciela ludzkości, tak godnego i zasłużonego dla społeczeństwa człowieka. Wieczny spokój, wieczne odpocznienie racz mu dać Panie!

Ksiądz Józef z Zacharyaszek.

PRZESADY,

komedia w pięciu aktach,

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

Scena 2.

Ciż i CIOTKA.

CIOTKA (wchodząc z prawej).

Gruchajcie sobie, gołąbki, przecie ja nie jestem od postrachu. Dziwi mnie to tylko, że macie przedemną sekreta, bo przecie wiem nie od dzisiaj, dlaczego pan Orski pracuje u nas jak wyrobnik. Ale co się tyczy hrabiego Artura, stracił u mnie wszystkie względy. Żenić się z taką Adelą, starą i brzydką, i jakiego pochodzenia!

JULIA.

Moja ciociu i my podobno nie z lepszej gliny...

CIOTKA.

A bardzo przepraszam, rodzina nasza od stu

lat żyje w tém mieście, a dziadek mój, gdyby był chciał, byłby mógł zostać herbowym, a nawet karmazynem.

JULIA.

Lecz skoro nie chciał...

CIOTKA.

Gdy tymczasem ten pan Spürer, przybędą jakiś, lasy kupował, szachrował, z cudzej nędzy korzystał... A pfe! i hrabia Orski, pan z panów, nakrywa to wszystko swym płaszczem.

ZDZISŁAW (cichy do Julii).

Pamiętaj pani o ósmym.

JULIA.

Nie zapomnę.

CIOTKA.

Ależ mówcie, mówcie z sobą pociechu, przecie ja was nie zdradzę; najlepszy dowód że słyszałam godzinę, jaką sobie naznaczacie.

JULIA.

Ależ ciociu, wierzaj mi że zupełnie co innego...

CIOTKA.

Ciekawam co dwoje młodych i ładnych może szepać do siebie, jeśli nie zakłęcia, przysięgi...

JULIA.

Już uciekam. (Wychodzi na prawo.)

ZDZISŁAW.

I ja także, bo pani dobrodziejka gotowa jeszcze wmówić we mnie Bóg wie co! (Wychodzi głębiej.)

CIOTKA.

Uciekajcie, uciekajcie, filuty! a co wiem to wiem dobrze. Jeszczeby też trzeba tego, aby się teraz nie pobrali, skoro tamten Orski takie głupstwo palnął. Julcia musi być hrabiną. Tylko czas byłby, żeby ten zrzekł się swego incognito i przyznał się do wszystkiego. Mądry fines, wie że brat mój brzydzi się hrabiami, więc udaje ubogiego, pracowitego, potulnego, a swoją drogą tak mi rozdurzył dziewczynę. Zuch Julcia, tamtego nie odpychała, ale co tego, to już widocznie trzyma. Choć nie powiem, żeby nie żalowała Artura. Miał coś majestatycznego w obejściu, czego temu trochę brak; przytém galant był na wszystkie strony. Mnie okulary z Paryża sprowadził. Oj, gdyby mi się tak wróciła młodość! waryowaliby za mną i pewniebym drugi raz nie poszła za urzędnika z banku, Panie święć nad jego duszą! Biedny, kochał mnie jak umiał. (Wymuje robotkę.) Dla Julci wyhaftuję pantofelki z koroną hrabiowską, ogromną, złotą. Ah jak to ślicznie brzmi. W salonie anonsują: pani hrabina Orska i pani Zefryna Krzykusiewiczowa, jej ciotka. Krzykusiewiczowa, to niby coś tak z Litwy. A po teatrze lokaj galonowany krzyczy: powóz dla pani hrabiny Orskiej!

Scena 3.

CIOTKA i LUCYAN.

LUCYAN (z księgami, zamyślony).

A to co? co znaczy ten wykrzyknik: powóz dla pani hrabiny Orskiej?

CIOTKA.

Znaczy powóz dla żony hrabiego Orskiego.

LUCYAN.

Ale któż jest żoną hrabiego Orskiego?

CIOTKA.

Jeszcze nikt, ale tylko co patrzyć.

LUCYAN (ostro).

Ciotko, ja już przestałem być słabym charakterem!

CIOTKA.

Czy ci ucha nie głaszcze ten słodki tytuł?

LUCYAN.

Ciotko, ja już jestem silnym charakterem!

CIOTKA.

Bądź sobie czém chcesz.

LUCYAN.

Niedarmo też podejrzewałem go oddawna.

CIOTKA.

Pocoś sobie tyle fatygi zadawał, byłabym ci otwarcie powiedziała, że się kochają.

LUCYAN.

Kto się kocha?... Ja się cały trzęsę!

CIOTKA.

I jak jeszcze się kochają! W ucho sobie szepczą, schadzki naznaczają...

LUCYAN.

Schadzki naznaczają?... Ja ich rozszarpię!..

CIOTKA.

Nie dasz rady, lubenku, z dwiema kobietami.

LUCYAN.

Jakto z dwiema? to i ciotka mu jeszcze pomaga?

CIOTKA.

Przecież znasz moje młodzieńcze marzenia.

LUCYAN (opryskliwie).

Alboż ja żyję sto lat, żebym je miał znać.

CIOTKA.

Wstydź się ubliżać kobięcie!

LUCYAN (chodząc).

Wam, jak widzę, ciągle się zdaje, że ja słaby charakter; ale dowiodę wszystkim, że u mnie tylko zdrzémnęła się energia.

CIOTKA.

Zdrzémnij się i ty, bo ja cię słuchać nie myślę. (Odchodzi, nucąc.)

Scena 4.

LUCYAN, potem ŻYLASTOWICZ.

LUCYAN.

Jaka ta ciotka lekkomyślna! Hrabia sobie romansuje w najlepsze, a ona z tego uszczęśliwiona. Ale my Żylastowicze nie chcemy panów, nie chcemy arystokracji — dobrzem powiedz! Słowo daję, jak tylko człowiek kapkę pracować zechce, zaraz się go czepia demokracja. (Chodzi po scenie, ręce w kieszeniach.) Schadzki sobie naznaczają? dobrze, ja ich wyszpiguje i będzie pił pał! (Sposstrzega ojca.) W sam czas przychodzisz, kochany ojczu; raz się nareszcie przekonasz, że syn twój nie odrodził się od ciebie ani na jotę.

ŻYLASTOWICZ.

No, no, jeśli się chcesz pochwalić robotą, to nie masz jeszcze tak dalece czem.

LUCYAN.

Tu chodzi o zasady, o silny charakter.

ŻYLASTOWICZ (śmiejąc się).

W dobrym dziś jesteś humorze.

LUCYAN.

W jaknajgorszym. Ale odpowiedz ojczu, wszak jesteś czystej krwi demokratą?

ŻYLASTOWICZ.

Dajże pokój z głupstwami!

LUCYAN.

Przez całe życie słyszałem...

ŻYLASTOWICZ.

Że się pychą brzydę.

LUCYAN.

Że nie lubisz hrabiów, książąt et cetera...

ŻYLASTOWICZ.

Wyjeżdżamy do państwa Zenonów; czy pojedziesz z nami?

LUCYAN (zbliża się).

Ojczu, ojczu, ja jestem na tropie...

ŻYLASTOWICZ.

Złodzieja?

LUCYAN.

Serca twojej córki.

ŻYLASTOWICZ.

Co znowu?

LUCYAN.

Posłuchaj mnie. Ten panicz, ten hrabia Orski, który u nas jest niby buchalterem...

ŻYLASTOWICZ.

Nie niby, ale rzeczywiście.

LUCYAN.

Bałamuci nam Julcię.

ŻYLASTOWICZ (spokojnie).

Ejże!

LUCYAN.

I ty, ojczu, nie na to?

ŻYLASTOWICZ.

Jakież masz dowody?

LUCYAN.

Zeznania ciotki...

ŻYLASTOWICZ (śmiejąc się).

Jéj zwykle brednie.

LUCYAN.

Wkrótce będę miał lepsze.

ŻYLASTOWICZ.

Rzeczywiście?

LUCYAN.

Z pewnością.

ŻYLASTOWICZ.

A kiedy tak, to jak je będziesz miał, przyjdź do mnie, a wtedy pogadamy. Powiedz ciotce, że jadę naprzód do państwa Zenonów. (Wychodzi głębia.)

Scena 5.

LUCYAN, potem JULIA.

LUCYAN.

Przykro pomyśleć, jak się wyradzają! No i kto by przypuszczał że ojciec mój... Chodzi mu o dowody... doskonale!... Dostarczę ich, nie ruszę się odtąd z domu, będę szpiegował każdy krok tego hrabicza i Julci. Ani mysz mi się nie przeslizgnie, żebym tego nie dojrzał. (Wychodzi na lewo do ogrodu.)

JULIA (z prawej).

Lucyaniu!.. Nie słyszy mnie... tém lepij! (Patrzy na zegarek). Za półgodziny ma przybyć. Boże, jakże mi serce bije! (Głos za kulisami: „Julciu, czekam!“) Już idę. Drogi Zdzisławie, jakże się lękam o ciebie! (Wychodzi na prawo, ciotka za sceną: „Julciu! Julciu!“)

Scena 6.

LAUFEN, potem ZDZISŁAW.

LAUFEN (wchodzi, oglądając się).

Widziałem odjeżdżający powóz. Sprytna dziewczyna, odprawiła natrętnych. No, będzie można z nią po ludzku pogadać. Hm, nie lubię, co prawda, z kobietami rozprawać o takich materyach; ale gdy się iaaczéj nie dało, *weun es anders nicht geht...* Jeszcze ósmój niéma; nie nie szkodzi, poczekam tu sobie wygodnie. (Siada na kanapie.) *Auf Ehre!* jak ja lubię spokojne życie, kominek, kanapkę! Ale cóż, duch pędzi mnie zawsze naprzód, duch, *der Weltgeist*, no, co prawda, i moje namiętności! *Passions, qui ne vous connaît pas?* Powinnaby wyjść z tych drzwi od siebie... *Charmanter Mädchen! Der verfluchte Graf* żartował sobie z niéj. (Z uśmiechem zadowolonia.) Jabym nie żartował! U nas, *das ist bei uns*, takie fabrykantki łapałyby mnie, barona. Hi, hi, hi, barona! Jeszcze w Meksyku dali mi ten tytuł przyjaciele, gdym się zgrał do nitki w écarté, i od tego czasu *je porte avec honneur* rodowe moje nazwisko. Nie śpieszy się malutka... *das glaub' ich...* nie jest-to rendez-vous miłosne, chociaż od niéjby tylko zależało... he, he, he! Donnerwetter! jeśli ja téj Adeli daruję! Prosiłem się, całowałem jéj kościstą łapę, *saperment*, nawet szpiegowałem potrosze... a ona pokazała mi figę, mówiąc: *Laissez moi en paix, ou je vous devoile*. Ona mnie zdewoaluje! *Saperment!* zkąd ona co wiedzieć może? *woher kann sie etwas wissen?* Papiery moje w porządku... (Wstaje i patrzy na zegarek). Jeśli nie przyjdzie... płakać będzie całe życie.

ZDZISŁAW (we drzwiach, kłania się bardzo nisko).

Uniżony służka pana barona dobrodzieja!

LAUFEN (bardzo zdziwiony).

Qu'est-ce que ça? co? jakto?

ZDZISŁAW.

Pan baron dobrodziej zdaje się nie spodziewał się mnie wcale, a może nawet pan baron dobrodziej wcale mnie sobie nie przypomina? Jestem zastępcą pana Żylastowicza i może będę mógł, skoro go niéma w domu, służyć czém panu baronowi?

LAUFEN.

Merci bien, dziękuję, niech się pan nie fatyguje. Ja tu mam osobisty interes.

ZDZISŁAW.

A to co innego, tylko że pan Żylastowicz późno wieczorem wróci dopięro.

LAUFEN.

Poczekam.

ZDZISŁAW.

Znudzi się pan baron, chyba że pozwoli służyć sobie mojem towarzystwem.

LAUFEN (niespokojny).

Nie chcę panu przeszkadzać, *je ne vous derange pas, monsieur*.

ZDZISŁAW.

Mais non, monsieur le baron, je suis tout à vos ordres, wiem bowiem że wszyscy domowi są na mieście, gdyż pan Żylastowicz zabrał ze sobą kobiety.

LAUFEN (mimowoli).

Kobiety?

ZDZISŁAW.

To jest nie zabrał, bo pojechały same późniéj; dlatego proponuję panu moje towarzystwo.

LAUFEN (n. s.).

Oszukała mnie! (Biorąc kapelus, głośno.) Bardzo pan grzeczny, ale ja nie mam czasu. Żegnaj pana.

ZDZISŁAW (zastępując).

Pan baron, jak widzę, wpadł w zły humor, co mnie, zastępcę gospodarza domu, nieskończenie martwi; dlatego proszę najspokojniéj pana barona, aby spoczął przez chwilę.

LAUFEN (zbliżając się, patrzy mu w oczy).

Qu'est-ce que ça veut dire? Co to ma znaczyć?

ZDZISŁAW.

Że oto już podaję panu krzesło.

LAUFEN.

Nie lubię się powtarzać. Żegnaj, bo z panem nie mam nic do mówienia.

ZDZISŁAW (zastępując).

Kto wie, czy po bliższem poznaniu nie znalazłby się jaki przedmiot do rozmowy.

LAUFEN.

Ale ja go szukać nie chcę.

ZDZISŁAW.

Siadajże, baronie!

LAUFEN (ostro).

Adieu, mówię!

ZDZISŁAW (ostro).

Siadaj pan, mówię!

LAUFEN.

Sind sie verrückt? Czyś pan stracił zmysły?

ZDZISŁAW (przystępuje).

Czyś pan przyniósł ów list?

LAUFEN (odskakuje).

Aha, więc to zasadzka?

ZDZISŁAW.

Gdzież tam, prosta propozycja. Oddaj go panu natychmiast, a wypłacę ci pewną sumkę.

LAUFEN.

Pan omyliłeś się grubo. (Idzie ku drzwiom.)

ZDZISŁAW (stając we drzwiach).

Pan ztąd nie wyjdiesz, dopóki listu nie oddasz.

LAUFEN.

Czy pan myślisz że się grózb jego ulękne?

ZDZISŁAW.

Ja też grozić nie będę, tylko działać.

LAUFEN.

Chciałbym to zobaczyć, *das möcht' ich sehen!*

ZDZISŁAW (spokojnie).

Słuchaj mnie, Laufenie! Wiem kim jesteś, zkąd pochodzisz i jakie prowadzisz rzemiosło. Tytuł kradziony, stanowisko kradzione, a kto wie czy i te kosztowności... (wskazuje łańcuszek.)

LAUFEN (wściki).

Milcz pan, bo mnie jeszcze nie znasz!

ZDZISŁAW.

Jakto? alboż nie przytaczam rodowodu? Ja się o panu dowiedziałem naprędce ile się dało i to mi wystarcza. Ukradłszy list, chcesz go pan dobrze sprzedać. Zgoda, leży to w pańskich zajęciach, a ja na interes przystaję. Zapłacę panu skromną, ale okrągłą sumkę, pan mi oddasz list i pójdiesz gdzieindziej szukać karyery.

LAUFEN.

A gdy powiem nie, to co?

ZDZISŁAW.

Strzeż się pan tego słowa!

LAUFEN.

Otóż słuchaj pan dobrze, mówię: nie!

ZDZISŁAW (przystępuje).

Awanturniku! przypatrz się tym rękoma; silne one i żyłaste. W dwie minuty zgniotę cię, list odbiorę, a pan baron dobrodziej na czysto stracisz. Decyduj się!

LAUFEN (cofa się ku oknu ogrodowemu).

Nie, nie i jeszcze raz nie!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Towarzystwo lekarskie warszawskie.

Lekarz praktyczny przez cały ciąg swojego zawodu musi nieustannie się uczyć, a ku temu służą mu trzy drogi: literatura, własne doświadczenie i stowarzyszenia lekarskie. Dwie pierwsze niewątpliwie wielkie mają znaczenie; ale ponieważ wszystkiego czytać niepodobna, pomimo wszelkich dziennikarskich udogodnień, ponieważ niepodobna

zarazem wszystkiego samemu widzieć, a co większa, uniknąć jednostronności w zapatrywaniu się na rzeczy, nie przeto nie zastąpi zbiorowej pracy w stowarzyszeniach lekarskich, które właśnie dlatego tak się obecnie rozpowszechniły, że są niezbędnymi dla wszelkiego niemal w medycynie praktycznej postępu. Każdy przychodzi tam ze swoim zasobem wiedzy czy to na drodze literackiej, czy praktycznie nabytej, i przez prostą zdań wymianę uczy drugich, ale zato i od nich nawzajem się

uczy, przy każdej, chociażby też najpodrzedniejszej dyspacie. Towarzystwa lekarzy stają się tym sposobem uzupełnieniem uniwersytetów; każdy z członków jest w nich zarazem i słuchaczem i profesorem, a cały naukowy Towarzystwa nastrój staje się najzupełniejszym wyrazem nagromadzonej medycznej wiedzy, w miejscu gdzie się ono znajduje.

Oprócz tej ogromnej usługi, Towarzystwa lekarskie oddają jeszcze niemniej ważną i inną;



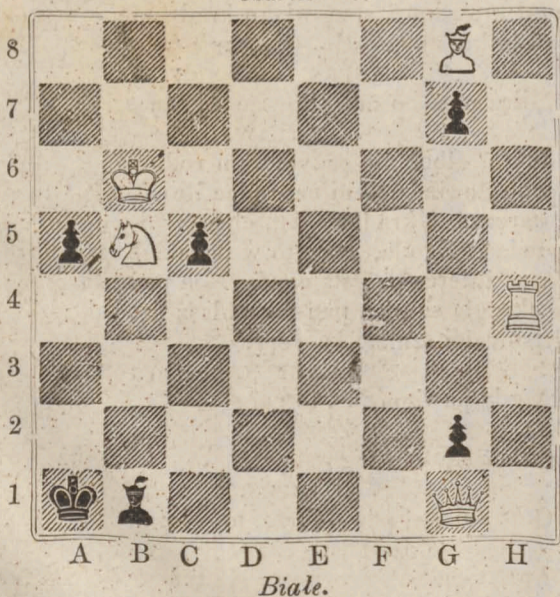
Dom Towarzystwa lekarskiego w Warszawie.

186

SZACHY.

ZADANIE XXVIII.

Białe zaczynają i dają mata za 2 posunięciami.
Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego nr. 27.

Białe.

Czarne.

- | | |
|----------------------------|-----------------|
| 1) A1—A7 | 1) D6—F8 biorą. |
| 2) A7—E3 | 2) Jakkolwiek. |
| 3) G3—H3 † | 3) G4—H3 biorą. |
| 4) E3—H3 † i mat | |

NAKLAD JÓZEFA UNGRA.

DZIEŁA Karola Szajnochy.

TOM III.

SZKICE HISTORYCZNE.

W tych dniach opuścił prasę drukarską.

WARUNKI PRENUMERATY:

Dla prenumeratorów Tygodnika ilustrowanego.

w Warszawie za 10 tomów . . . rs. 10.

w cesarstwie i na prowincyi . . . „ 11.

W ozdobnej oprawie zagranicznej en relief:

w Warszawie za 10 tomów . . . rs. 14

w cesarstwie i na prowincyi . . . „ 16

Dla nieprenumeratorów Tygodnika ilustrowanego cena podwaja się.

Uwaga. Prenumerata na dzieła Karola Szajnochy w cesarstwie i na prowincyi przyjmuje się najmniej na 2 tomy.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3).

REBUS.

187



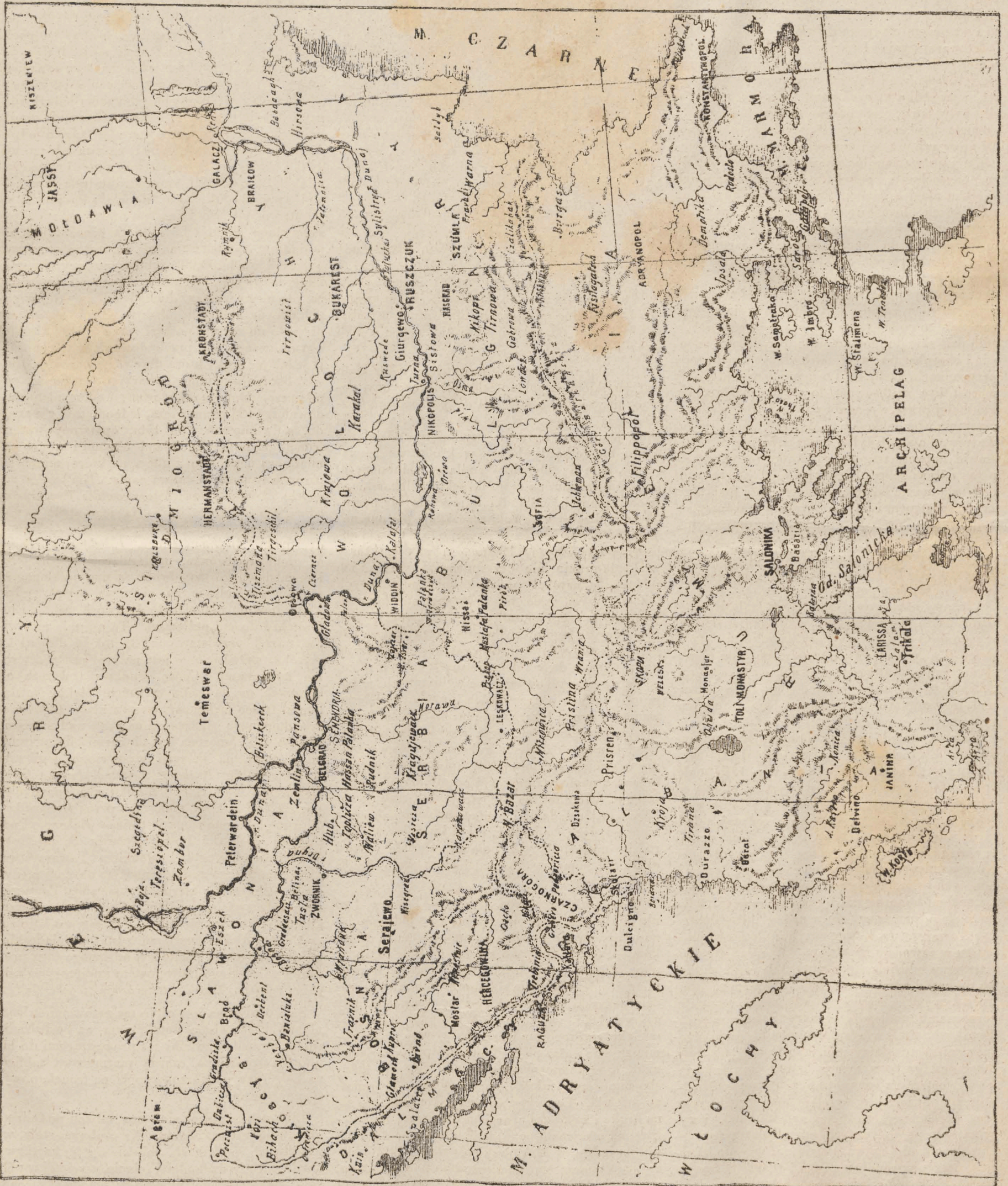
Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 30.

Praca ucznia człowieka, a lenistwo go poniża.

Karta Turcyi europejskiej

I KRAJÓW PRZYLEGLYCH,

ZE SZCZEGÓLNEM UWZGLĘDNIENIEM WIDOWNI WOJNY.



zbliżają one i kojarzą pomiędzy sobą w jednym kierunku pracujących ludzi, uczą ich szanować się wzajemnie, trzymają w korbach zarozumiałość i osobiste wybryki, a tym sposobem stają pośrednio na straży publicznego zaufania, którego stan lekarski musi koniecznie używać, jeśli zadaniu swojemu zadosyć uczynić pragnie. Towarzystwa lekarskie mają więc, oprócz naukowych i technicznych, swoje socyalne a nawet humanitarne zadanie, a im się ich więcej w kraju jakim znajduje, tém wyżej w nim stoi poczucie obowiązku lekarza względem swój własnej godności, względem nauki i względem ogólnego dobra.

Stowarzyszenia lekarskie datują od najdawniejszych czasów, boć przecie i owe starogreckie *Asklepiady*, od których medycyna swój początek wywodzi, a których naukę *Hipokrates* wygłosił, były także silnie uorganizowanem stowarzyszeniem kapłanów przy świątyniach Eskulapa. W nowszych czasach mnożyły się one coraz więcej, a z początkiem bieżącego stulecia szeroko się rozpowszechniły, i odtąd też stan nauk lekarskich wielkim uległ zmianom. Ze spekulacji opartej na panujących filozoficznych systematach, przeszliśmy przeważnie do obserwacji tego co istnieje; *dedukcyą* zaczęła coraz wyraźniej zastępować *indukcyą*, aż wreszcie znikła wszelka chęć dyktowania praw przyrodzie. Wysilną pracę pojedynczego myśliczela, smażącego sobie mózg nad wynalezieniem zasady, z której dałoby się wysnuć to wszystko co się tyczy *zdrowia i choroby*, zastąpiło dziś skrzętne dostrzeżenie, jak się owo zdrowie i choroba we wszystkich danych zachowują przypadkach, ażeby ztąd osiągnięte wyniki mogły wprost być zastosowane do praktycznych celów. Do takiej pracy wypadało powołać wielu; stowarzyszenia więc lekarskie znalazły się na porządku dziennym, a skoro tylko przez założenie w Warszawie uniwersytetu w 1817 roku rozszerzył się u nas odrazu zakres lekarskiej wiedzy, zaraz też dała się uczuć lekarzowi konieczność podążania za jej postępem i po za obrębem uniwersyteckich ławek. Towarzystwo więc lekarskie powstać musiało, i założono je też rzeczywiście przy końcu 1820 roku, za sprawą *Czekierskiego*, *Brandta*, żyjącego dotąd *Wojdego* i kilku innych, odczuwających bliżej jego potrzebę.

Ciekawy naukowych kolei przez jakie przechodziło nasze Towarzystwo, znajdzie je opisane w jego *historycznym zarysie*, skróconym w r. 1867 przez dra *Szokalskiego* i zamieszczonym w pierwszym tomie ówczesnego czasopisma lekarskiego „*Klinika*.” My tutaj zastanowimy się wyłącznie nad jego organizacją, jego zasobami i obecnym położeniem.

Ustawa, dotąd jeszcze obowiązująca, nadana została Towarzystwu w kwietniu 1821 roku i przy powtórnym zatwierdzeniu w r. 1857 małej tylko uległa zmianie. Towarzystwo składa się z członków stałych, korespondentów i honorowych. Stali, zamieszkujący w Warszawie, opłacają składki miesięczne, sami tylko głosują i na urzędy w témże Towarzystwie mogą być powoływani. Korespondenci są krajowi lub zakrajowi, lecz wybór tych ostatnich wymaga potwierdzenia rządu. Członkami honorowymi bywają mianowani tylko mężowie odznaczający się w nauce, lub członkowie Towarzystwa, którzy dożyli 50-letniego jubileuszu w zawodzie lekarskim. W zarządzie Towarzystwa oddziela się skrupulatnie część naukową od części administracyjnej. Do pierwszej powołani są prezes, wiceprezes i sekretarz doroczny i ci corocznie podlegają wyborowi, oraz zatwierdzeniu właściwej władzy. Do administracji przeznaczeni są urzędnicy stali, jako-to sekretarz stały, który jest gospodarzem w domu i czuwa nad jego wewnętrznym i zewnętrznym bytem; podskarbi, któremu powierza się wszelkie finansowe interesy; oraz bibliotekarz, czuwający nad biblioteką i wysyłką pism peryodycznych, gdyż Towarzystwo lekarskie abonuje najważniejsze europejskie lekarskie oraz przyrodnicze pisma i w taki je rozsyła sposób, że każdy z jego stałych członków co dni 3 otrzymuje inne z pomiędzy tych, które życzy sobie czytać. Do liczby urzędników zaliczyć także należy redaktora „Pamiętnika Towarzystwa le-

karskiego warszawskiego,” wybieranego z grona członków stałych co lat trzy. Pamiętnik wychodzi bez przerwy od r. 1837 w ilości dwóch tomów corocznie i jest drogocennym zbiorem prac Towarzystwa, których właśnie dokonywa się obecnie konieczne skatalogowanie. Pod zarządem redaktora odbywa się także wymiana Pamiętnika na wydawnictwa innych Towarzystw krajowych i zagranicznych.

Biblioteka zawiera 7030 dzieł w 13000 tomach, wyłącznie lekarskiej treści, i właśnie w bieżącym roku została wzorowo spisana i uporządkowana przez dra *Kosmińskiego*, obecnego bibliotekarza, przy pomocy jego małżonki, której za skrzętną i mozolną jej pracę Towarzystwo złożyło urządowanie najprzejmiejście podziękowanie. Posiedzenia ogólne Towarzystwa odbywają się regularnie od jego założenia dwa razy miesięcznie, co wtorek po pierwszym i po piętnastym każdego miesiąca, nie licząc w to posiedzeń komitetów wyznaczonych do opracowań specjalnych, ani też osobnych posiedzeń biologiczno-hygienicznych, odbywających się od początku bieżącego roku, które przy obecnym skierowaniu medycyny do potrzeb społecznych stały się koniecznymi, lecz przy nawale czysto klinicznego materiału dostatecznie uwzględnianiami być nie mogły. Rozgłos, jaki te posiedzenia w prasie peryodycznej naszej zyskały, z powodu iż na nich podnoszą się i ujawniają nasze lokalne niezliczone zdrowotne potrzeby, pozwala nam poprzestać na krótkim tém o nich wspomnieniu.

Od roku 1857 z Towarzystwem lekarskiem warszawskim zespolono zakład dobroczynny, noszący nazwę *Kasy wsparcia dla podupadłych lekarzy, oraz wdów i sierot po nich pozostawionych*. Cel więc jego jest wyraźnie wytknięty, udział zaś w nim bierze każdy lekarz w królestwie zamieszkały, byle się zobowiązał opłacać minimum 30 kop. miesięcznie na ręce inspektora lekarskiego swojej gubernii. Składki te przesyła się peryodycznie, dwa razy na rok; rozdziela się one następnie między potrzebujących. Do wsparcia dopuszczani są wszyscy lekarze, ci nawet, którzy w składkowaniu nie uczestniczyli, byle stan ich podupadły uzyskał poświadczenie miejscowych kolegów. Na czele tej instytucji stoi komitet, który tym tylko sposobem jest z Towarzystwem zespolony, że jego prezes w nim przewodniczy i że sekretarz stały Towarzystwa zarządza funduszami kasy. Oprócz dwóch delegowanych członków, corocznie z grona Towarzystwa wybieranych, w komitecie zasiada jeszcze dwóch innych, wydelegowanych z grona lekarzy warszawskich, do Towarzystwa nienależących, oraz wszyscy inspektoriwie lekarscy z dziesięciu gubernij królestwa, którzy w swoich terytoryach są opiekunami potrzebujących pomocy i najlepiej ocenić mogą ich położenie. Komitet ten rozpatruje dwa razy do roku wszystkie żądania i w miarę uzbieranych przez sześć miesięcy dochodów, czyni im zadosyć. Ilość rodzin potrzebujących pomocy obecnie wynosi około 80, suma zaś do rozdzielenia około 3,600 rubli.

W początkach swego istnienia Towarzystwo nie miało stałego pomieszczenia i posiedzenia jego odbywały się kolejno w pomieszkaniach członków. Później zbierano się na *Potkańskim* przy ulicy Długiej, a od roku 1832 w gmachu przy ulicy Jezuickiej, gdzie się poprzednio mieścił wydział lekarski warszawskiego uniwersytetu; gdy zaś w r. 1856 założono w Warszawie akademią medyko-chirurgiczną i przeznaczony na jej pomieszczenie pałac po b. Towarzystwie przyjaciół nauk, a na pomieszczenie urzędu loteryi, który się tam dotąd mieścił, przeznaczono ów gmach po-jezuicki, Towarzystwo lekarskie znalazło się na bruku i tylko za poparciem ówczesnej Rady lekarskiej otrzymało pozwolenie zbierania się w jej sali posiedzeń w Mostowskich pałacu, bibliotekę zaś jego tymczasem pomieszczono pod strychem, w szpitalu Dzieciątka Jezus, przyczem niemałemu poszkodowaniu uległa. Szczęściem, po kilku latach trwania tej biedy, za staraniem dra *Natanson*a, wynaleziono odpowiedni w domu *Petyskusa*

lokal, w którym się przez lat 12 następnych zbierało.

Wszystko to dawało dotkliwie uczuć potrzebę stałej siedziby. Ztąd też kilkakrotnie dawały się słyszeć *pia desideria* zakupu własnego domu, które jednak przy ówczesnym stanie finansowym Towarzystwa na żart wyglądały—gdy naraż przy otworzeniu testamentu s. p. dra *Bączewicza*, nader gorliwego członka Towarzystwa przez lat blisko 30, dowiedziano się z zadziwieniem, iż na stałe pomieszczenie Towarzystwa wielce szanowany ten lekarz zapisał sumę 150,000 złp., polecając aby za nie postawiono osobny budynek, z tablicą pamiątkową na froncie, stwierdzającą jego fundacyą. Przyjęto z wdzięcznością wspaniałą ofiarę, zwiększono ją nawet znacznie przez zaoszczędzenie procentów; przy bliższem jednak rozpatrzeniu się uznano, iż suma zapisowa nie mogła wystarczyć na zakupienie w środku miasta odpowiedniego placu i wystawienie na nim takiego budynku, któryby Towarzystwo odpowiednio pomieścił, a z drugiej znów strony tyle przynajmniej przyniósł dochodu, ile miało kosztować jego utrzymanie. Po dojrzałym przeto namyśle, postanowiono zakupić jaką dobrze procentującą się posiadłość i przenieść na nią kapitał żelazny kasy wsparcia, około 30,000 rubli wynoszący, hypotekując takowy na pierwszym numerze i zapewniając dla niego wyższy dochód od zwykłej w papierach publicznych lokacyi. Tym sposobem przyszło do zakupu posesyi przy ulicy *Niecałej* i gruntownego jej przebudowania w ten sposób, iż jedna jej część, którą drzeworyt nasz przedstawia, bardzo wygodnie Towarzystwo lekarskie pomieszcza. Dom przebudowany według planu budowniczego *Muklanowicza*, jednopiętrowy z przodu, a dwupiętrowy od tyłu, opatrzony jest na froncie pięcioma wielkimi oknami i tablicą pamiątkową u wechodu z ulicy, na której mieści się przepisany przez testatora napis: *Dom ten jest pamiątką od doktora Jana Bączewicza dla Towarzystwa lekarskiego warszawskiego*. Na jego atyce wystawiono posagi czterech bóstw mitologicznych medycznych: *Apollina*, *Diany*, *Eskulapa* i *Hygiei*. W głębi przedsiionka, otwierającego się na ulicę i przedzielonego na dwoje ścianą oszkloną, są schody prowadzące na pierwsze piętro, gdzie z przedpokojem wchodzi się do dwóch sal, do biblioteki i do sali posiedzeń. Ta ostatnia na rycinie naszej przedstawiona, 32 łokcie długa i 12 szeroka, przedzieloną jest na trzy części czterema kolumnami. Część środkowa, wyższa od bocznych, ma na osobnym suficie piękny medalion al fresco malowany, wystawiający *Hipokratesa* zadumanego, siedzącego na skale nad morzem. Wkoło sala otoczona jest pięknymi bibliotecznymi szafami, na których wystawiono popiersia *Augusta Wolfa*, *Brandta*, *Lebruna*, *Janikowskiego*, *Bączewicza* i *Rolińskiego*. Z boku wisi znamienity portret *Czekierskiego*, malowany przez *Brodowskiego*, a w głębi ustawiony jest nieco większy od naturalnej wielkości posąg *Jędrzeja Sniadeckiego*. Wielki nasz biolog był członkiem Towarzystwa, a znakomite jego zasługi, nadając obecną medycynie cechujący ją kierunek, dozwalają Towarzystwu poszczycić się godłem, którego mu wszystkie inne pozazdrościć mogą. Posąg jest dziełem rzeźbiarza *Kucharzewskiego* i wystawia *Sniadeckiego* wykładającego z katedry, odzianego togą profesora wileńskiego uniwersytetu i opierającego się jedną ręką na *Teorii jestestw organicznych*.

Sala oświetlona jest czterema gazowymi świecznikami i zastawiona potrzebnym na posiedzenie sprzętem; naderzwiami zaś prowadzącymi do biblioteki wprawiono czarną marmurową tablicę, na której jest powtórzony napis na froncie powyżej zacytowany.

Biblioteka, nieco mniejsza od sali posiedzeń, gustownie jest urządzona. Na osobnym stole, we właściwych pudełkach, mieści się jej kartkowy katalog. Przy wschodniej ścianie, wyciętej w półkole, pozostawiono miejsce na schody kręcone, mające z czasem prowadzić na drugie piętro, gdy się biblioteka powiększy i obszerniejszego wymagać będzie lokalu. Sala ta jest w związku z po-

mieszkaniem woźnego i kancelaryą Towarzystwa, która archiwistę i jego pomocnika zatrudnia.

KORRESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Poznań, w lipcu.

Kiedy żniwa w polu rolników zajmują, zwykle najnieudziękniejszemu bywa żniwo kronikarza. O czem tu pisać do miesięcznej korespondencji? Na ulicach cicho, jakby w jakiej zakłętą siedzibie uspiętej księżniczki. Poznań dziś nie w Poznaniu, ale w Kołobrzegu, morskich kąpielach, dziś tu najbardziej zwiedzanych, bądź dla niedalekiego ich położenia, bądź z powodu wybornych solanek, które podwójną pozwalają prowadzić kuracyę. Może się mylę, ale mnie się zdaje, że niewygody pobytu w niemieckiej fortecy, zła kuchnia, ciasne mieszkanie i t. p. niedogodności, przeważają chyba wpływ zbawienny słonej fal, i że rzeczne kąpiele, racjonalna dyeta i porządek dzienny ściśle przestrzegany w domu, pomysłniej oddziaływać mogą na stan fizyczny, aniżeli wszelkie włożęgi i wędrowki po wodach zagranicznych. Ale darmo! konieczność letniej przejażdżki stała się niejako chorobą ogólną i nikt się przekonac nie da, że ze zdrowiem bywa jak z Fortuną w bajeczce Lafontaine'a: najczęściej szukamy je daleko, kiedy u progu znaleźćby się dało.

Czy to wędrownie usposobienie zostało w nas po naszych słowiańskich praocicach? czy też je w nas wykształca moda? tego nie wiem, ani rozsądzać się nie kuszę. Dość że Poznań pusty, a zły humor korespondenta może się wylęwa niesłusznie na tych, którzy goniąc za rozrywką, pod pozorem zdrowia, opuścili go i osamotnili.

W końcu czerwca odbyło się tu w sali bazarowej walne zebranie Towarzystwa pomocy naukowej dla dziewcząt. Ze sprawozdania rocznego dowiedzieliśmy się o dobroczynnym działaniu wchozącej dopiero w życie instytucji. Podań o stypendya było 44, z tych 26 uwzględniono od razu, a sześć zostawiono do późniejszego rozstrzygnięcia. W ciągu roku pobięrało wsparcia 41 uczeń, z tych ukończyło naukę 29. Wychowanie kształcących się na guwernantki było 8, bon systemu Fröbela 3, buchalterek 3, 1 aptekarka, 1 fryzjerka, 1 rękawiczniczka, 1 pracza, kucharek 5, krzewczyń 10, gospodyń wiejskich 5, modniarek 3. Dochodu wraz z remanentem było 3038 tal., rozchodu zaś 1493 tal. Wogóle wspierane dziewczęta kształcono przeważnie w Poznaniu; guwernantkę jedną posłano do Paryża, buchalterki do Brzegu na Szląsk. Skład dyrekcji pozostał, z małemi zmianami, ten sam co i dawniej.

W tymże czasie w niedalekim od Poznania Kościanie odbyło się walne zebranie Towarzystwa przemysłowców. Kościan, miasteczko powiatowe, sławne z czasów wojen szwedzkich, mało już posiada pamiątek przeszłości. Pozostała tylko piękna i starożytna fara, w której ołtarz z płaskorzeźbami złożonemi z lipowego drzewa, powszechnie do roku 1622 odnoszony, grobowce Opalińskiego z połowy XVI wieku i Jana Orzelskiego starosty kościańskiego. W tej tedy mieście dnia 25 czerwca zgromadziło się około stu osób, celem radzenia nad dalszym rozwojem Towarzystwa przemysłowego. Między innemi mówcy zwrócili uwagę na korzyści płynące z publicznych odczytów i szkół wieczornych, tudzież na potrzebę zachęcania młodzieży do kształcenia się w ry-sunkach.

Ostatniem publicznem zgromadzeniem było walne zebranie Towarzystwa przyjaciół nauk, dnia 1-go lipca. Dr. Matecki, wice-prezes Towarzystwa, miał popularny wykład o przejściu Wenerę przez tarczę słoneczną. Dalej konserwator, pan Feldmanowski odczytał sprawozdanie z całorocznej czynności Towarzystwa. Wydział historyczny, jak zwykle, tak i w tym roku najwięcej rozwinął życia: odbył z kolei 24 posiedzeń i prawie równą liczbę odczytów publicznych, zalecających się treścią i obrobieniem. Prezes Towarzystwa, p.

Stanisław Koźmian, przewodniczący zarazem i historycznemu wydziałowi, daje mu pochop do coraz czynniejszego i szerszego działania, i to nie tylko w kierunku książkowym, lub wyłącznie literackim. Dość przypomnieć tu sprawienie i umieszczenie tablicy pamiątkowej dla Stanisława Staszica, w rodzinnem jego miasteczku Pile, kosztem i staraniem Towarzystwa; podobnie zabieg uczyniono dla umieszczenia tablicy w katedrze gnieźnieńskiej na cześć arcybiskupa Ignacego Krasieckiego; nareszcie uwieczono już skutkiem troskliwości około odnowienia pełnej pamiątek historycznych kaplicy Potockich przy tejże gnieźnieńskiej katedrze. Hojność potomków hetmańskiego rodu pozwoliła rozpocząć śpieszną jej restauracyę; p. Maryan Jaroczyński podjął się odświeżania zatartych fresków i roboty mają się już ku końcowi.

Rocznik Towarzystwa przyjaciół nauk ukazał się także w ostatnich dniach, przynosząc nam bogaty plon zajmujących artykułów. Najświetniejsze odczyty z ubiegłego roku znalazły tu pomieszczenie, a ozdobą najnowszego Rocznika są bezwątpienia dwie cenne prace czcigodnego prezesa, p. Koźmiana: pełne serdeczności wspomnienie pośmiertne o Libelcie i nadzwyczaj zajmująca rozprawa o żywiole religijnym w dziełach Szekspira. Kto tak jak p. Koźmian wzył się w nieśmiertelne utwory arcy-mistrza dramatycznego, ten sądzić może słusznie o jego przekonaniach, wyznaniu i zasadach. Nie opierając się atoli na domysłach, pan Koźmian szuka pewników tak w biografii Szekspira, jak w płodach jego nieśmiertelnego natchnienia. Po szerokich i długich dociekaniach, które stanowić będą ciekawy przyczynek do historyografii Szekspirowskiej i staną obok prac wyczerpujących pp. Rio i Reichenspergera, p. Koźmian udowadnia niezbicie, że Szekspir był katolikiem i że geniusz jego, z natury swój przeciwny chłodnej negacyi, potężniej jeszcze byłby się niezawodnie rozwinął, gdyby się był znalazł w społeczności katolickiej. Rozprawa p. Koźmiana obfituje w tysiące ciekawych uwag i spostrzeżeń, tak iż powinna być koniecznie zająć miejsce w warszawskim wydawnictwie utworów wielkiego dramaturga angielskiego. Pan Koźmian stanowczo także rozstrzyga pisownię nazwiska nieśmiertelnego Wiliama: już więc ani Shakspeare, ani Shakespere należy pisać, ale ściśle się trzymać istotnej ortografii *Shakespeare*, odpowiednio do znaczenia herbowych godeł i znaków rodziny mistrza.

W tym samym poszycie Roczników napotykaemy jeszcze historyczno-archeologiczną pracę p. Jarochowskiego, o kamieniach mikorzyńskich, i heraldyczną dra Szulca o tworzeniu się herbów i nazwisk familijnych w Polsce. Ks. dz. Łukowski podał tu wiadomość o nieznanym synodzie dyciecznym, a młody wielkopolski poeta, Józef Kościelski, z wycieczki do Egiptu przywiózł ciekawy plon arabskich rapsodów. Dodajmy do tego astronomiczną rozprawę dra Mateckiego, a przekonamy się z samego spisu rzeczy, jaką rozmaitością, jak ciekawemi przedmioty zaleca się ostatni Rocznik Towarzystwa przyjaciół nauk.

W przeszłym liście moim doniosłem o zapowiedzi różnych nowych publikacji niezamordowanego p. Żupańskiego. Dziś słówko o urywku z pamiętników Leona Potockiego, który już miałem w ręku. Fragment-to nader krótki, bo obejmuje zaledwie pierwszą młodość autora, a więc początek bieżącego stulecia. Z kolei autor nam maluje tak zwane pruskie czasy, później księstwo warszawskie i wojny Napoleońskie. Jest-to raczej szkice społeczny, naksztalt pociągających obrazków *Bonawentury z Kochanowa*, aniżeli pamiętnik historyczny. Na tle opowiadania występują postacie księcia Józefa, Urszuli Wielopolskiej starościny krakowskiej, Szczęsnego Potockiego, mieszkańców Puław i Jabłonny. Opis salonów od lat wielu zamkniętych, postaci dziś już oddawna w grobie będących, obyczajów zupełnie odmiennych, stosunków wcale różnych, choć w miejscowościach i rodzinach dobrze nam znanych, nęci i przykuwa uwagę do gawędki Leona Potockiego, napi-

sanę z wielką rzewnością i niezaprzeczoną talentem. Żalować tylko przychodzi, iż nie znalazło się więcej ludzi, którzyby obok niego podjęli się spisywania wspomnień i kręślenia obrazów z przeszłości tak blizkiej, a już tak zamglonej, zapomnianej. Wkrótce jęj ostatni przedstawiciel zstąpią do grobu, unosząc z sobą resztę śladów i pamiątek tych czasów, które powinny być nie tylko znaleźć kronikarzy, ale nawet i bardów.

Spoleczność nasza świeżo utraciła jednego z tych mężów, których pamięć i zasługi sięgały właśnie tych lat i zdarzeń coraz od nas dalszych. Dnia 23 czerwca zmarł w majątku swym Przysieccie Edward hr. Potworowski, członek izby panów i marszałek sejmu prowincjonalnego. Gorącością serca i młodzieńczym zapałem dla wszystkiego co piękne i szlachetne, sędziwy marszałek zaiste do innej zdawał się należeć epoki. Dzieckiem prawie odbył Napoleońskie kampanie, i do końca życia chętnie a ze wzruszeniem opowiadał, jak pod Smoleńskiem cesarz Napoleon zapytał go najprzód ile ma lat?—Siedemnaście, była odpowiedź.—A ile służby wojskowej?—Dwa, miłościwy panie! odrzekło dumnie pacholę, które cesarz własnoręcznie ozdobił legią honorową. Hr. Edward Potworowski z kolei był adjutantem generałów: Kurnatowskiego, Tułińskiego, chwilowo zaś ordonansem samegoż księcia Józefa. Długi pobyt w stolicy księstwa warszawskiego pozwolił mu zawiązać liczne stosunki, które do końca życia zachował, nawet gdy zamieniwszy oręż na lemiesz, cofnął się w wiejskie ustronie. Zajęty bieżąciami wypadkami, gospodarstwem rolnem, któremu się z zapałem oddawał, hr. Potworowski zrzadka tylko cofał się w przeszłość. Wszakże gdy kto z młodszych potrafił we właściwą uderzyć strunę, naprowadzając rozmowę na dawne dzieje i wspomnienia, sędziwy marszałek był niewyczerpanym i z niezrównaną werwą opowiadał co widział i słyszał. Szkoda że ani on, ani nikt z blizkich jego nie spisał pamiętnika, który w swoim rodzaju mógłby być niezrównanym, z powodu nadzwyczajnej żywości umysłu i serca nieodżałowanego starca. Pogrzeb jego zgromadził całe niemal obywatelstwo tutejsze, śpieszące oddać hołd pośmiertny swemu Nestorowi.

Kronika zagraniczna,

przez

J. I. Kraszewskiego.

Co się dzieje z Jupiterem na niebie i co robi niemiecki Zeus?—Zwrot Bismarckowskiej polityki i zmiana osi.—Stronictwo zachowawcze.—Liberalny obóz.—Przyszłość mglista.—Austryackie dziennikarstwo i Słowianie.—Karlsbad.—Dzienniki.—Goście dostojni u wód.—Teatra w Karlsbadzie.—Offenbach *castigatus*.—Gabryel Conroy, przez Bret Harte.—Kilka słów o nim.—Charakterystyka powieści.—Cesarz Karol IV i udział jego w życiu duchowem swego czasu, przez Henryka Friedjunga.—karol IV i Petrarka.—Sztuka w XI wieku.—Hr. Aleksander Fredro i jego dzieła.—Mąż i żona.—Znaczenie tej komedji.—Samobójstwo, przez Maurycego hr. Dzieduszyckiego.

Astronomowie utrzymują (bez żartu i dwuznaczności), że oblicze Jupitera od niejakiego czasu ciągłym zmianom podlega. Pokazują się na niem jakieś pasy, przebiegają cienie, strefy podbiegunowe przybierają barwy fioletowe i sine, kolory ciągle się przeistaczają i mieniają, jak gdyby stara planeta była jeszcze w tém stadium metamorfozy, która tylko młodzieniaszkom uchodzi. Możnaż się potem u nas na ziemi dziwić niestałości atmosfery i wszystkim nieprawidłowościom meteorologicznym? Pocieszajmy się tém, że na Jupiterze w tej chwili nieskończenie gorzej być musi.

Ani się też podobna zdumiewać, iż Jupiter niemiecki dąży także do zmiany osi, na której się polityka jego wewnętrzna obracała. Po całych Niemczech rozlega się jeden okrzyk grozy i przerażenia: książę Bismarck odprawia do domu zaciągniętych przez się tak zwanych narodowo-liberalnych, którzy, jak *lucus a non lucendo*, narodowo-liberalnymi się tytułowali, bo narodowość uznawali tylko jedną niemiecką, a liberalnymi byli tylko dla siebie. Wracają do zagród swych (przy

korzennych sklepach), spoczywać na laurach zdobytych. Co dotąd było pogłoską, staje się co chwila jawniejszym faktem: nowe wybory zapowiadają stanowczo stworzenie silnego stronnictwa zachowawczego, które już nawet swój program ogłasza. Składać się ono będzie głównie z posiadaczy ziemi i ludzi umiejących (a przynajmniej głoścących że umieją) poszanować tradycje i nie chcących kroczyć na oślep po niebezpiecznej drodze radykalizmu. Wszystko to przygotowuje się, tworzy, klęci, choć jest jeszcze dosyć nieoznaczone, nie przybrało wyraźniejszych kształtów; ale plan i główna idea nie ulegają wątpliwości. Jak się on da wykonać, gdy przyjdą wybory, przy kim kraj większość postawi, odgadywać byłoby zawczasem; lecz wybory te gotują się gorące, a walka około urn będzie zajadłą. Dziś już gromadzą się jednych przekonani ludzie dla działania na masy, które własnego kierunku nie wyrobiły sobie. Słychać zarazem że znaczna bardzo część posłów liberalnych, która wyobrażała sobie iż praca prawodawcza da się z innem powołaniem pogodzić, a przekonała się iż ona pochłania człowieka całkowicie, myśli się usunąć od kandydatury. Brak będzie ludzi do walki. Być też bardzo może, iż małe powodzenie panów liberalnych zniechęciło ich do zawodu tego, który opuszczają bez wewnętrznego uspokojenia i uznania ogółu. Postępowi zato żywiej się krzątają i z placu nie ustąpią.

Pomimo ogłoszonego programu i przygotowań, o których zewsząd dochodzą wieści, są ludzie co utrzymują dziś jeszcze, że stworzenie owego stronnictwa zachowawczego, czysto Bismarckowskiego, okaże się niepodobniństwem, dla braku części składowych, i że księżę kanclerz będzie zmuszonym wrócić do tych, których kompromitującej przyjaźni radby się pozbyć. W polityce zwroty tego rodzaju nic nie kosztują, jak to na samym księciu widzimy. Sympatye jego szlacheckie ciągną go ku konserwatystom, a konieczność zmusza wyciągać dłoń ku tym, którzy za sobą mają liczną większość i przedstawiają siłę.

Zresztą w Karlsbadzie, gdzie korespondent nasz chwilowo przebywa, niewiele z Niemiec północnych dochodzi wiadomości i świat tu zupełnie inny. Tu już stokroć żywiej zajmują nowiny z placu boju, losy Serbii i kwestyi wschodniej, która w najwyższym stopniu drażni i niepokoi austro-węgierskie państwo. Chociaż znaczna część jego, jak okazuje statystyka ludności, składa się z plemion słowiańskich, nigdzie może w świecie większej niechęci, wzdury, wstrętu dla Słowian wogóle nie znajdzie, jak w dziennikarstwie austriackim. Do popisu z niemi dały pochop teraźniejsze wypadki. Niektóre berlińskie dzienniki wtórują wiedeńskim, głoścąc na wszystkie tony o nikczemności, niezdarności (sic) Słowian wogóle, przeczynionych na pożarcie kulturze niemieckiej. Nic charakterystyczniejszego nad tę trwogę i gniew, jakie ogarniają Węgrów i Niemców na samą myśl i przypuszczenie, iż nowe a silne państwo słowiańskie mogłoby, skutkiem wypadków, powstać na granicy Austrii. Takie wzmożenie się nienawistnego żywiołu w szal niemal wprawia węgierskich polityków. W tém wszystkim brak logiki. Jednego dnia Słowian głoścą jako plemię niezdolne do wyrabiania się i kształcenia, przeznaczone na śmierć—drugiego obawiają się właśnie tych, których wczoraj sponiewierali. W ostatku w Peszcie powiadają, że bądź cobądź, na żadne zmiany terytorjalne na korzyść Serbów i południowych Słowian Madziarowie nie pozwolą. Czytając to, możnaby sądzić, że istotnie Austrii jakieś nadzwyczajne zagraża niebezpieczeństwo.

W Karlsbadzie, który tego roku już z różnych stron świata widział przeszło 12,000 gości, polityka mało kogo obchodzi. Pomimo to dzienniki chwytają wszyscy, aby niezupełnie stracić ciąg wypadków i wiedzieć co się tam na świecie dzieje... Lecz z gorętszą może ciekawością patrzą na żywą tę politykę ofiarę, którą palcami sobie ukazują u Sprudla, w Freundschaftssaal, lub na starym Wiesie. Tą ofiarą jest hr. Arnim, któremu niedawno wezwany lekarz pruski miał urzędowe

wydać świadectwo, iż nigdy do odsiedzenia dziewięciu miesięcy więzienia, na które został skazany, bez niebezpieczeństwa życia pociągniętym być nie może. Po rozgłosie jaki miał w świecie proces hr. Arnima i broszura „Pro nihilo,“ uparcie mu przypisywana—możnaby wistocie spodziewać się ujrzeć w nim jedną z tych postaci znaczących, których historia na czole jest wypisaną. Tymczasem w różnobarwnym tłumie chorych tutejszych wątpię żeby kto, patrząc na Arnima, domyślił się w nim osobistości tak wybitnej. Jest to mężczyzna lat średnich, z piękną, siwiejącą brodą, żywymi i niespokojnymi oczyma, którego rysy nie zresztą nie mówią. Choroba nawet nie pozostawiła śladów na twarzy; nie odebrała mu pewnej żywości ruchów, nieco gorączkowych. Znać w nim tylko jedno: usposobienie nerwowe, rozdrażnienie, którego nie zdaje się być panem. Długa broda, z przebijającymi się u góry ciemnymi włosami, jest jakby nagle i przedwcześnie posiwiała. Hr. Arnim chodzi zwykle sam, lub z kimś z rodziny, albo z cudzoziemców; wszystko co w Austrii ma urzędową pozycją, unika go starannie, aby się zetknięciem z nim nie skompromitować. Niema wątpliwości iż każdy krok jego pilnie być musi śledzonym. Oprócz niego ma tu przebywać, niewidzialny dla ogółu prostych śmiertelników, ex-król neapolitański i spodziewanym jest, jak mówią, księżę Walii, dla którego cały hotel Victoria został zamówiony.

Znakomitości tych nie ujrzą zapewne goście uczęszczający pod Słonia, gdzie cały świat karlsbadzki zwykł się zbierać na ranną i poobiednią kawę i gdzie niemal wszystkie świata języki przy stoliczkach słyszeć się dają. W tym kilkotysięcznym tłumie chorych, często wcale niewyglądających tak, by się zdawali kuracyi potrzebować, są także obywatele Stanów Zjednoczonych i jeden pono przybysz aż z Honolulu.

Dwa teatrzyki i rozmaite orkiestry zabawiają wieczorami tych, którzy mają siłę szukać rozrywki. Mówią że teatr miejski ma być niezły; drugi, nazwany letnim, daje małe operetki i *possy*, komedyjki wesole ze śpiewkami. Offenbachowski muzy płody ukazują się tu *castigatae ad usum Delphini* i tak przyzwoite, że, straciwszy swój charakter pierwotny, do niczego nie są podobne. Ci co widywali Piękną Helenę w Berlinie, a byli ciekawi oglądać ją w Karlsbadzie, nie mogą się wydziwić talentowi, z jakim jęj figowy listek przypięto.

O literaturze pisać z Karlsbadu ledwie jest rzeczą możliwą; jednakże są ludzie, co i tu czytać muszą. Z nowości niemieckich nic tak dalece uderzającego nie spotkaliśmy za oknami księgarni; z tłumaczeń może najciekawszym jest przekład powieści Bret Harte'a „Gabryel Conroy.“ Wyszły aż dwa jego różne wydania, a Lindau zaszczycił jedno z nich sprawozdaniem, o którym wspomnieliśmy przed przeczytaniem książki. Recenzent, dosyć wysoko podnosząc talent rodzimy autora, nastaje na to bardzo, iż Harte żadnych się nie trzymał prawideł i stworzył rzecz oryginalną zupełnie, w której sztuka zastępuje talent samostny. Sąd to, na który po przeczytaniu bacznym Gabryela Conroy zgodzić się całkowicie niepodobna. Bret Harte jest nadewszystko oryginalnym przez materiał jakiego użył do swęj powieści; mniej daleko formą, która przypomina mnogie inne romanse angielskie. Na kalifornijskim gruncie, który dostarczył, jako motywów, śnieżnych zameci, straszliwych trzęsień ziemi, przypadających w najdramatyczniejszych momentach, groźnych stad dzikich wołów, piaszczystych wydm u brzegów morza, mających pochłonąć bohaterów, a wreszcie typów pół-indyjskich, meksykańskich, mieszanych i ekscentrycznych—łatwo mogła urosnąć powieść pełna kolorytu i barw dziwnie jaskrawych, choć może bardzo prawdziwych. Ze znakomitym niezaprzeczeniem talentem użyte zostały i te motywa, i osobliwsze charaktery, i cała treść żywota na dziewiczej ziemi, zamieszkiwanej przez napływową ludność awanturniczą, wśród której nawet Chińczycy występują.

Sam bohater Conroy z wielką prawdą i realizmem jest odmalowany. Wszystkie zresztą otacza-

jące go postacie, napiętnowane dobitnie, ten sam realistyczny sposób malowania cechuje. Są to żywi ludzie, czasem odrobinkę skarykaturowani, dla pociągnięcia czytelnika, ale z natury pochwyleni i nie pozujący na bohaterów. Węzeł nadzwyczaj zaplątany i misternie zawiązany, odznacza się może zbytkiem obrachowania nadto kunsztownego. Ciekawość czytającego drażniona jest, utrzymywana, podsycana do końca bardzo umiejętnie. Bret Harte maluje wybornie, żywo, wyraziście i nie nuży nigdy jednostajnością, umiając w porę przerzucać opowiadanie w coraz nowe sfery, na tło odmiennych co chwila krajobrazów, a postaciom nadając wiele różnaitości. Część ta świata kalifornijskiego, która nam przedstawia ze stron tak różnych, pozostaje w pamięci jak wybornie kolorowana fotografia, przez znakomitego zdjętą artystę. Naprózno by tu kto szukał ideałów, w świecie do pragnienia ich niedorosłym; ludzie to tylko są ze wszystkimi słabościami i wadami swojemi. Ostatnie nawet wybitniejsze są może, niż strony jasne. Autor niczego dowiedzieć nie chciał: pragnął malować, chciał być prawdziwym i barwnym, a zadaniu temu podołał wielkim talentem. Lindau, mówiąc o nim z pewną sympatją, z rodzajem jednak politowania wyraża się o braku „sztuki“ w opowiadaniu. Tymczasem Harte aż nadto sztucznie i z wielką umiejętnością zbudował swój romans; jest w nim może kombinacyj, węzłów i węzełków aż do zbytku.

Społeczność odmalowana, niezaprzeczenie bardzo jest ciekawą i weale do naszej europejskiej niepodobną. Są to dzieci świata cywilizowanego, ale oderwane od łona matki, z częścią tylko jęj tradycyi, których najlepsza może reszta gdzieś po drodze zaginęła. Czuć że ci ludzie materyjalne cywilizacyi staręj wyniki zachowali, moralne jęj rezultaty, jako brzemie zbyteczne, rzucając obojętnie. Ludzie to nie dzieci, ale zdziczeli poczęści w ciężkiej walce o byt z dziewiczym światem olbrzymich rozmiarów. Mówią że w Niemczech Gabryel Conroy wielkie ma powodzenie, i nie dziwnego; życia w nim wiele, a ci co najbardziej ciszę i spokój domowy cenią, lubią zwykle obrazy burzy i namiętności, których sami się strzegą.

(Dokończenie nastąpi).

NA ROZDROŻU.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH,

przez

Deotymę.

TOM DRUGI.

(Dalszy ciąg.)

— Ciągle czekałam czy się nie nawróci, czy nie napisze? Wychodziłam przed dziedziniec, wypatrując w szalonym złudzeniu, czy nie nadjeżdża gościncem. Nie mogłam i nie mogłam uwierzyć w moje nieszczęście; kilka razy jeszcze pisałam do pana. Czyniłam to potajemnie, ze wstydu przed Ryszardem, który udawał że nic nie wie, ale pewno wiedział najlepiej, kiedy wszystkie listy nieomylnie wracały do mnie. Poczta była daleko od Złotopola, a ludzie których używałam i przepłacałam, wszyscy widać przeciw mnie spiknięci, musieli te przesyłki najpierw doręczać swojemu panu. Mijały tygodnie, od pana Tytusa ani znaku życia; Ryszard był zawsze uprzejmy, ale coraz posepniejszy, i nie spuszczał mi z oka. Pewnego dnia wyjechał na cały dzień do miasta. Za powrotem, późno już wieczorem wszedł do mego pokoju; była to śmiałość której sobie jeszcze nigdy nie pozwolił. Uczułam po całym jego obejściu, że nadchodzi stanowcza chwila. Rzeczywiście, zaczął od słów, na które zarumieniłam się, jak dziecko. „Obiecałaś pani—mówił—nie czynić bez mojej rady. Zbawienie twoje i córki zawisło od tego warunku. Tymczasem dowiedziałem się, że piszesz do pana Odonicza. Co piszesz, nie wiem,

ale pewnie się usprawiedliwasz. Sama pani rozważ: ja z całych sił pracuję aby tę sprawę w tajemnicy utrzymać, a ty jej szczegóły wypisujesz czarno na białym i poczie powierzasz. Jest to i nieostrożnie, i niewdzięcznie. Narzucasz się człowiekowi który ci okazuje pogardę, a pomiatasz człowiekiem któryby życie za ciebie oddał. Światowi przyjaciele odwrócili się od ciebie w złej godzinie, ja jeden zostałem ci wiernym i zostanę do śmierci, jeżeli mię nie odepchniesz. Ale trzeba też i moją cierpliwość oszczędzać. Nie bądź pani tak bardzo pewna wygranej. Byłem dziś w mieście. Sprawa nasza niedobrze stoi. Przy badaniu świadków, jeden z kelnerów przypomniał sobie szczegół straszny. Widział owę noc, widział na własne oczy, jak Odonicz, wyszedłszy od pani, wchodził do tej Włoszki. Szwajcar także zaświadcza, że Odonicz dobrze po północy wracał drugi raz do hotelu, a co najgorsze że nikt go nie widział wychodzącym. Te zeznania rzucają nowe i niespodziane światło na sprawę. Czy wiesz pani co mówią, nie tylko między gminem, ale w sądach? Mówią że był potajemnie ożeniony z Romaną, a gdy, sprzykrzywszy ją sobie, panią upodobał, zmówiliście się we dwoje, aby sprzątnąć tę zawadzającą żonę. Co mówię, we dwoje? użyliście i dziecka do pomocy, i to najwięcej oburza opinią. Pani powiesz mi, że cała ta historia nieprawdziwa, ale czegoż to dowodzi, jeżeli prawdopodobna i wszyscy w nią uwierzą? „Ja wtedy krzyknęłam: Ale przecież pan nie wierzysz? A on się uśmiechnął jadownicie i powiedział: „To zależy. Sędziowie napatrzą się tylu rzeczy niesłychanych, że wszystko mogą przypuścić. Widywano takie czyny między osobami najlepiej urodzonymi i wychowanymi, a przyznam się... upór pani w tej dziwnej wierności daje wiele do myślenia.... Tylko współnictwo zbrodni zawiązuje takie nieodgadnione stosunki.“ Słuchałam spiorunowana. Nie wiem czy te wieści krążyły rzeczywiście między publicznością....

— Gdzież tam! Nie krążyły nigdy, przecież byłyby i do mnie doszły—przerwał z oburzeniem pan Tytus.

— Tak, ale ja z mojego zamknięcia nie mogłam sprawdzić, a jak Ryszard zaczął mi przytaczać artykuły kodeksu, wystawiać złośliwość pozorów, Boże mój! włosy mi na głowie stanęły. Już widziałam Cesię, pana Tytusa i siebie, włóczonych po trybunałach. Kiedy uznał mnie dostatecznie nastraszoną, Ryszard zmienił głos i powiedział: „Jest jednak środek ratunku, jedyny i nieomylny. Zostań pani moją żoną, a dowiedziesz swojej niewinności, najprzód w moich oczach, bo przestanę cię podejrzewać o tajemne zobowiązania, potem w oczach świata, bo świat przecież nie przepuści, abym się mógł żenić z osobą której nie szanuję. Zostawiam pani trzy dni do namysłu. Jeżeli po trzech dniach przystaniesz, obiecuję całą sprawę zatrzeć zupełnie, nazawsze. Jeżeli odmówisz, będę wiedział co myśleć... umyję ręce od wszelkiej obrony, a wtedy radzicie sobie ze sprawiedliwością, jak możecie.“ Panie Tytusie, miałam tyle odwagi, że prosiłam aby mi pozwolił jeszcze raz, ostatni raz, napisać do pana. Pozwolił wspaniałomyślnie. List mu chciałam przeczytać, odmówił, czém ostatecznie mię wzruszył. Nie wiedziałam że za drzwiami będzie go czytał i śmiał się ze mnie. Nie pamiętam w życiu dni dłuższych, jak te które przemęczyłam, czekając na odpowiedź od pana. Trzeciego dnia, jakby umyślnie na termin, przyszedł list... ale to znowu był mój własny, w kopercie z pańskim podpisem. Odebrałam go przy obiedzie, a wieczorem byłam zaręczona z Ryszardem. Ja i Cesia odprawiliśmy cichuteńko pokutę kościelną, za mimowolne odjęcie życia bliźniemu; potem odbył się równie cicho ślub, podobny do pogrzebu, przynajmniej takim się mnie wydawał.

Po milczeniu dość długim, Wiesław zapytał:

— I pani była bardzo nieszczęśliwa?

— Nie wiem, doprawdy, jak panu odpowiedzieć. Idąc za mąż w takich warunkach, nie spodziewałam się szczęścia, nie doznałam więc zawodu. Przyjęłam los ten, jako ciężkie dopu-

szczenie Boże. Zrazu odchodząc od ołtarza, mąż mój powiedział: „Spodziewam się że pani zapomnisz swoich gustów światowych. Ja nie jestem podobny do pana Zapolskiego; moja żona musi lubić dom, być wierną i kochającą.“ Wierną, ma się rozumieć; postanowiłam nią być i byłam do końca, w tym względzie sumienie moje nie przedstawia mi ani cienia wyrzutu. Ale aby stać się kochającą, niedość chciać; pomimo wszelkich moich usiłowań, zawsze mi wymawiano oziębłość. Polubić dom także łatwem nie było. Złotopol pięknie położony, ale smutny. Ogród pełen świeżych zielonawych wód, a przytém i tajemniczych wspomnień. Kiedyś, pamiętam, chodząc z mężem nad wodą, zapytałam czy to prawda że pierwsza jego żona się utopiła? Uśmiechnął się zagadkowo i odpowiedział: „A jakże, prawda. Nic dziwnego, to była waryatka.“ I zaczął mówić o czém inném, ja też nie pytałam więcej, przekonana że się zawsze albo zamała, albo zawiele dowiem. Mieszkanie mieliśmy niewygodne; pałacysko z pretensją, a nieskończone. Ojciec Ryszarda zaczął go budować i w połowie dzieła umarł. Mój mąż większą część życia przemieszkał w mieście, a kiedy osiadł w Złotopolu i chciał budowę kończyć, okazało się że początek już groził ruiną. Pokoje były ogromne, ale bez obić, schody o drewnianych, tymczasowych poręczach. Wszędzie jakiś chłód i pustka. Ludność na wsi krnąbrna, służba ponura i wystrachana. Byłam niby panią domu, wszyscy mi niby z pokłonem słuchali, a nie wypełniali żadnego rozkazu, póki nie poszli opowiedzieć się panu. I tak, razu jednego, nie w rok ani we dwa, ale w sześć lat po ślubie, Scholastyka, poczciwa służąca, jedyna co przywiązała się do mnie i do Cesi (ja też jedną przywiozłam tu z sobą), przyniosła mi list od jakiegoś dawniej mojej znajomej; list był zupełnie obojętny, ale go oddała, nie pokazawszy pierwój panu. Oj! miała też krzyż pański do zniesienia za to! Jak łatwo zgadnąć, taka nieufność głęboko mnie obrażała. Dzisiaj rozumiem, że to nie była nieufność, ale obawa ażebym nie zrobiła jakiego odkrycia. Pierwsze jednak lata zeszyły dosyć znośnie. Wprawdzie rozrywek nie miałam, ale ochota do nich dawno mi odeszła, a przytém, w zamian za wszystko, miałam wielkie, rozkoszne zajęcia, wychowanie Cesi. W niej odnalazłam całe szczęście, które Bóg mi gdzieindziej odjął. Cesia dorastała, ufnosc wzajemna także rosła. Zwierzałyśmy sobie wszystkie nasze wielkie cierpienia i drobne radości. Powoli, znalazłam w niej nie tylko najlepszą córkę, ale najgorliwszą przyjaciółkę. I ta jednak pociecha sprowadzała niezgodę. Mąż mój, nie mając o kogo być zazdrosnym, gniewał się o tę wielką miłość, która, jak twierdził, czyniła mu ujmę w mojem sercu. Cesia, mimo pozorniej uległości, szczerze go niecierpiała. Nie dziwię się. Mój Boże! Wahałam się czy dać jej pana Tytusa za ojcyma, a musiałam jej dać takiego Ryszarda. Zaklinałam Cesię, aby cierpliwszą była, przypominałam jak wiele mu zawdzięczamy, bo jednak dotrzymał obietnicy, sprawę Romany uczynił, nikt z nas nie był zaczepiony, a nawet posądzony. Cesia przyznawała mi słusność, była jakiś czas powolniejsza, ale że ma charakter stanowczy i kocha mię biędaczka nad miarę, jak tylko mąż mi zaczynał dokuczać, zrywała się na moją obronę. Ztąd burze codzienne. Życie stawało się z każdym krokiem cięższe. Mój mąż, w kilka miesięcy po ślubie, wziął dymisję, aby lepiej, jak mówił „używać szczęścia domowego.“ Z początku istotnie był dosyć wesoły i chciał widać być przyjemnym. Ale przyzwyczajony do rozkazywania na wysokim stanowisku, zwolna przeniósł całą sprężystość władzy na nas. Trawiony bezczynnością, wglądał w drobnostki domowe. Przytém opuścił się w higienie, na czém zdrowie i humor ucierpiał. W ostatnich latach miał napady gniewu, których doprawdy nie można niczém inném wytłumaczyć, jak tylko chorobliwym stanem. Z tém wszystkiém lata szły i dla Cesi; serce mi się krajało, widząc ją więdnącą w takim czyśc. Ja przynajmniej w przeszłości użyłam chwil świetnych i radosnych, ale ona nie znała prócz głuchych tragedij, nikogo nie widywała

prócz kilku starych nudziarzy, bo takich jedynie Ryszard przypuszczał do domu.

— Proszę pani—odezwał się pan Tytus—czy to prawda, że przed rokiem pani chciałaś córkę wyswatać za mnie?

— Za pana? Któż mógł panu taką bajkę przynieść?

— Któs co mógł uchodzić za dobrze świadomego—pan Alfred.

— Aha! Alfred. On gotów na wszystko. A zresztą... Jest może i w tej bajce źródło prawdy. Przypominam sobie jak raz przy Alfredzie utyskiwałam nad przyszłością córki, nad trudnością znalezienia dla niej właściwego losu. Mój mąż, pół żartem szukając dla niej męża, przytaczał różnych naszych sąsiadów, same partye niestosowne i śmieszne, nakoniec zawołał: „Kogóż tedy chcesz? królewicza? cesarzewicza?“ Wtedy odezwałam się, może niebacznie, że jeden jest człowiek na świecie, któremu podobnego życzyłabym dla Cesi. Ryszard pierwszy podsunął pańskie nazwisko i zaraz dodał z ironią: „Wątpię wszakże aby chciał być w naszym domu, a choćby chciał, to jeszcze niewiadomo czy jąbym go wpuścił?“ Jak najprędzej inny obrót nadałam rozmowie, i nigdy już nie wróciliśmy do niej, ale Alfred nie o mieszkaniu panu jej powtórzyć, i to przeinaczając, bo nie wątpię że szuka wszelkich sposobów, aby szkodzić Cesi.

— O, że szuka—wtrącił Wiesław—to ja wiem najlepiej. Ale dlaczego?

— Dlaczego? Dla najzwyczajniejszej zemsty. Właśnie w tójże samej epoce, przed rokiem, niepokojność moja o córkę stała się nie do zniesienia. Wyrzucałam sobie że nie mam dość energii na obronę dziecka, i oświadczyłam Ryszardowi że musimy koniecznie wyjechać ze Złotopola, a jeżeli on nie może, bo zawsze składał się na brak zdrowia, to ja wyjadę z córką do Warszawy, albo za granicę. On, który nigdy nie dał sobie wspomnieć bez gniewu o podobnych zamiarach, tą razą uśmiechnął się wesoło i powiedział żeby się nie troszczyła, że już sam pomyślał o przyszłości Cesi. I wymyślił coś przepysznego! W kilkanaście dni później pojawia się Alfred. Dotąd, pamiętna niektórym szczegółów przeszłości (pan Tytus mię zrozumie), trzymałam zawsze mego pasierba w wielkiem oddaleniu i surowej oziębłości. Ale tą razą przyjechał z wielkim trzaskiem, ukłonił i upominkami. Nazajutrz mój mąż oświadczył go o rękę mojej córki. Już tylko nam tego brakowało. Ma się rozumieć, odmówiłam z oburzeniem. Przecież ja się dawniej gniwałam, kiedy ten osławiony człowiek śmiał na mnie oczy podnieść a miałabym mu dać mego anioła? Dość było jednego Pełki w rodzinie, dość było jednej z nas na ofiarę. Ale mój mąż nie mógł zrozumieć powodów tój odmowy. Kochał syna gwałtownie, gryzł się jego szaleństwami, to też gorąco pragnął dobrze go ożenić, w nadziei że się ustakuje. „Czegoż więcej żądacie, pytał ze szczerem zdziwieniem. Przecież Alfred jest piękny, jak mało kto w Polsce? Zostawię mu ogromny majątek, przytém rozkoszny, dowcipny, damy za nim przepadają.“ Ale byłam niepokonaną. Ryszard się zasmucił, i pierwszy raz w życiu mi ustąpił. Minęło kilka tygodni, myślałam żeśmy już oswobodzone od tój napaści, kiedy dnia jednego (pamiętny to dzień) Alfred niespodzianie przyjechał. Siedziałyśmy z robotą w salonie; mój mąż, mocno słaby, drzemał w sąsiednim pokoju. Alfred wszedł pomieszany, wyznał że pomimo pierwszej odmowy, żyć nie może w oddaleniu od Cecylii, padł mi do nóg, błagał abym się za nim wstawiła, potem zwrócił do niej mowę patetyczną, tak pełną ognia, że zaczęłam w nim przypuszczać prawdziwe przywiązanie. Cesia odcięła mu się ostro; wstał urażony i poszedł do ojca. Przez drzwi niedomknięte cała rozmowa nas dochodziła. Wtedy zrozumiałyśmy natarczywość jego konkurów; miał ogromne długi i nie widział innego sposobu splacenia ich, jak posagiem Cesi. Gdy i ta nadzieja spełzła, żądał aby ojciec zapłacił. Ojciec, nieustannie przez niego obdzierany, odmówił. (Dalszy ciąg nastąpi).

Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

Milton i Cromwell,

przez Alfreda Sterna.

Niejeden z miłośników sztuki spotykał niezawodnie po publicznych i prywatnych zbiorach miedzioryt, wykonany podług obrazu jednego z nowszych malarzów angielskich i zwracający uwagę swym przedmiotem. Przedstawia on dwóch mężów, różniących się najzupełniej tak zewnętrznymi cechami, jak i charakterem przez artystę im nadanym. Każdy z nich jednak pociąga nas w odrębny sposób właściwościami swęj istoty. Pierwszy rozrosły i szeroki w ramionach, z mieczem u boku i w butach z ostrogami, stoi z miną rozkazującą. Potężne czoło, krzaczyste brwi, surowy wyraz oblicza, wskazują wyższą, świadomą siebie potęgę. Drugi o wysmukłej postawie, w czarnym stroju, spogląda ze swego siedzenia ku towarzyszowi. Lewą ręką wskazuje na arkusz papieru, w prawej zaś trzyma pióro, jak gdyby wyczekiwał na zlecenie dalszego pisania. Włos jego spada swobodnie w naturalnych zwojach, tak samo jak i u towarzysza, lecz obejmuje twarz, której miękkie rysy noszą piętno geniuszu i piękna.

W tych mężach przedstawił nam artysta dwóch największych ludzi swego narodu, w jednej z najważniejszych chwil dziejowych; pierwszym z nich jest Oliver Cromwell, drugim John Milton. Burzliwe tylko czasy mogły wynieść tak wysoko obu tych mężów, a stara Anglia nie widziała niezawodnie dni burzliwszych, jak czasy Karola I. Dosty i więcej niż dosty wycierpiał lud, nim stargał krępujące go więzy i nim najkonserwatywniejszy ze wszystkich narodów odnalazł rozpaczliwą odwagę zerwania z przastarami tradycjami swego politycznego bytu. Jeszcze nie zagasił zupełnie odblask świetnego panowania Elżbiety, jeszcze Shakespeare i Raleigh przypominali ludowi ów złoty wiek, gdy niezdarna ręka ukoronowanego pedanta z domu Stuartów zaczęła już osłabiać nici wiążące monarchę z poddanymi. Co Jakub rozpoczął bez głębszego wyrachowania, Karol I prowadził dalej ze świadomym swego celu uporem. Ogólny zwrot owęj epoki ku absolutyzmowi zjednoczył się w nim z naturalną skłonnością do intrygi i łamania danego słowa, co się bynajmniej nie zgadzało ze ściśle zachowywanem *decorum* domowej moralności i z idealnymi, artystycznymi dążeniami. Władca który dziś czynił przyrzeczenia, ażeby je jutro łamać, który dawał pierwszeństwo podszeptom swęj faworyty przed radami prawdziwych patriotów, a nie umiał przytęm blaskiem zwyciężkich wojen stłumić oburzenia wywoływanego gwałtami wewnętrznego zarządu, musiał niechybnie popaść w rozdzwojenie z narodem. Trzykrotnie domagał się on pomocy stanów w swych finansowych kłopotach, trzykrotnie w odpowiedzi na to naród ze swęj strony stawiał wymagania, by monarcha nie podnosił wyżej prawa swęj władzy nad prawa narodu. Nareszcie król rozwiązał niesforne zgromadzenie w najgwałtowniejszy sposób i zamknawszy usta najśmielszym jego członkom, przez osadzenie ich w ciemnych murach Towru, rozpoczął rządy bez parlamentarnęj kontroli. Nastąpiły teraz lata, w których gwałt i samowola swobodnie rozpostarły się po kraju, a jednocześnie znaleźli się obywatele dość śmieli, by podjąć nierówną walkę z całą machiną samowładnych rządów, za prawa swoje i narodu.

Walka to była tém zjadliwsza, iż na dwóch ją trzeba było prowadzić polach. Nadużycia czysto politycznej treści, jak nieszanowanie osobistęj swobody, przymusowe opodatkowywanie, ciągła gro-

za gwałtów Strafforda, nie wystarczyłyby może na wywołanie burzy. Ale do tyranii politycznej przyłączyła się jeszcze i kościelna. Skoro państwo pozyskało na swe usługi nauczanie kościelne, a kościół uciekł się do pomocy miecza świeckiego, wtedy obie te instytucje spotkały na swęj drodze tych samych przeciwników. W owych czasach, gdy rozdzwojenia religijne wzmagaly jeszcze przeciwnictwa polityczne, trudno było wyświadczyć gorszą przysługę sprawie tolerancji, jak narzucając jęj za obrońców ludzi, co dążąc do wytworzenia sztucznej jedności religijnej, stanowili tym sposobem ciągłą groźbę dla interesów ogółu narodu.

Na lądzie stałym Europy szalała wtedy straszliwa wojna, wszczęta w stolicy Czech z religijnej niezgody; nie zapomniano jeszcze, czyja ręka zadała cios Henrykowi IV; nie zbywało również na ludziach pamiętających dni Armady. Katolicka ludność Irlandyi łączyła się zwykle ze wszystkimi zagranicznymi nieprzyjaciółmi. Spisek prochowy stał jak nieustanna groźba przed oczami każdego spokojnego obywatela. Anglik ówczesny nie pojmował, iżby ktoś mógł być dobrym patriotą, nie będąc protestantem. Część dla relikwii, wiara w rzeczywistą przemianę chleba i wina w ciało i krew Chrystusa, uznawanie głowy kościoła w papieżu, było równoznacznem ze zdradą kraju. Chciano karać nie tylko czyny, ale i sam sposób myślenia, a źle myślącym był każdy, co regularnie nie uczestniczył w nabożeństwie kościoła panującego. Tymczasem teraz przyszło do tego, iż arcybiskup Wiliam Laud, z całą gromadą swych stronników, zaczął się wyraźnie chylić ku wyznawcom i obrządkom owego znieawidzonego papizmu, a jednocześnie surowo prześladować tych, którzy przestrzegali zasad reformacji w nauce, obrzędzie i organizacji kościelnej, dążąc do ściślejszego niż dotąd zachowywania takowych. Gdy na rozkaz arcybiskupa wprowadzono znowu do kościołów wielkie ołtarze, obrazy świętych, poświęcane naczynia, świece i przyklekiwania, zakazano jednocześnie najsurowiej kaznodziejom rozprawiać o głównych kalwińskich dogmatach, predestynacji i wyborze zbawionych. Ci, którzy nie chcieli odstąpić od reformatorskich obrządków swoich ojców, musieli się pod osłoną nocy zgromadzać w ustronnych miejscach, by ująć prześladowania rządu. Straszliwe trybunały Anglii rywalizowały godnie ze swą południową siostrą, inkwizycją. W więzieniu pokutował każdy, kto się ośmielił modlić do Boga w inny sposób, niż nakazywały przepisy. Pisma, w których obok tyranii króla napastowano tyranją angielskich biskupów, bowały palone, a autorzy takowych, po obcięciu uszów i napiętnowaniu przez kata żelazem rozpalonem, otrzymywali publiczną chłostę i byli wystawiani pod pręgiem. Corocznie, pomimo całej czujności urzędników, tłumy pobożnych opuszczały ojezystą ziemię, by z drugięj strony oceanu szukać siedlisk, w których kościół nie zależał od państwa, w których nie istniała władza cywilna, dążąca do regulowania zasad wiary, obrządków i hierarchii kościelnej.

Tym sposobem zmieszały się polityczne urazy z religijnymi; rozumiano iż kościół i państwo utworzyły rodzaj wzajemnego zabezpieczenia swoich interesów, tak iż najzarliwsi zwolennicy przymusu religijnego byli zarazem najgorliwszymi obrońcami samowoli królewskieję. Wyrodził się ztąd w narodzie angielskim straszliwy niepokój, iżby wraz z absolutyzmem, nie wprowadzono gwałtem i katolicyzmu. Dwa wielkie stronnictwa występowały coraz ostrzej przeciw sobie. Miłujący wolność, surowych zasad kalwiński purytanin, był o całą przepaść dalekim od uległego, wesolo żyć lubiącego rojalisty, który dla swęj romantycznej, rozmiłowanej w pięknie natury znajdo-

wał bogaty materiał w katolickim urządzeniu obrzędów kościelnych. Ponad politycznym i religijnym przeciwnictwem wznosiły się tu dwa całkiem różne poglądy na życie. Jedni walezyli za odwieczne idee prawa i obowiązku, nie zważając na ponurą, często odpychającą formę w jaką je przybiórano; drudzy wspięrali pożądlive pragnienia potęgi i samowoli, oblekające się w barwną szatę wesołego używania.

Walka wybuchała w chwili, gdy chciano moźnym Szkotom narzucić jarzmo jednostajności form kościelnych. Dzielny opór tego narodu zmusił Karola I do zwołania nanowo przedstawicieli swego kraju. Po krótkiej przerwie przygotowawczej, wybuchły teraz całym płomieniem od tylu lat powstrzymywane oburzenie i nienawiść. Rewolucya stała się faktem. Napróżno król poświęcał jęj najwierniejszych służalców; nie powstrzymało to fal coraz wyżej sięgających. Niepowodzenie zamachu królewskiego, wymierzonego przeciw przywódcom ruchu, dało hasło do wojny domowej. Król został pokonany; Szkoci, wśród których się schronił, wydali go nieprzyjaciółom. Stronnictwo w którego ręce się dostał wytworzyło się dopiero podczas rewolucyi pomiędzy masą purytanów; ono to przewodziło w wojsku. Sama już nazwa jaką przybrało (independenci) wskazywała idee, kierować mające jego dążeniami. Domagało się ono independencji, niezależności każdęj pojedynczēj gminy kościelnej od innych i zarazem niezależności ogółu gmin od państwa, we wszystkiem co się tyczy ich religijnego życia. Jednomyślnym jednostkom należy zostawić wszelką swobodę zawiązywania między sobą religijnych społeczności, państwo zaś, jako nieobowiązane do wspierania gmin, płacenia pensyj duchownym i utrzymywania kościołów, nie powinno posiadać żadnego wpływu i władzy w rzeczach dogmatu, kultu i hierarchii.

Podobne idee sprowadzały coraz większy rozdział między independentami, a resztą purytanów. Ci ostatni (presbiterianie) obstawali usilnie za instytucją narodowego i krajowego kościoła. Szkocya przedstawiała dla nich ideał kościelnej konstytucyi, w której presbiter, najstarszy ze świeckich, odgrywał tak wielką rolę. Stale określony dogmat, stale określony rytuał, kościelne zgromadzenia, idące stopniowo od drobnych parafialnych rad aż do wielkich narodowych synodów, kościelne napomnienia, klątwa, pokuta, kary na kacerzy i niemoralne życie wiódących — oto główne rysy szkockiego kościoła. Wszystko to pod opieką władzy państwowej i dla jęj podparcia zarazem, rozciągnięte na cały naród z nietolerancją bezwzględności, przedstawia nam prawdziwą teokracją, na demokratycznęj przykrajanej podstawie. Śród walki z Karolem I, Wiliamem Laudem i biskupią tyranją, independenci zostawali w ściślejszj jedności z presbiterianami; lecz gdy po zburzeniu dawnego gmachu, trzeba było przyłożyć rękę do nowęj budowy, jedność ta rozpadła się odrazu. Pierwsi, nie chcąc pozbawiać kościoła opieki państwowej, dążyli jedynie do zamiany jarzma episkopalnego na presbiteryalne; drudzy przeciwnie, nauczeni doświadczeniem ubiegłych lat, domagali się rozdziału między sferą władzy państwowej i kościelnej, a przytęm tolerancji. Tamci chcieli nową formą przyoblec starą zasadę, ci zaś tworzyli nowe całkiem podstawy. Zwycięstwo zostało przy independentach. Ich zakuci w żelazo jeźdźcy, równie świadomi Biblii jak i oręża, ożywieni byli tym przelamującym wszystkim fanatyzmem, który niegdyś pędził do zwycięstw plemiona arabskie, pod hasłem półksiężycy. Pokonawszy przeciwników na polu bitwy, wypędzili ich z parlamentu, stłumili usiłowania oporu, a wreszcie zażądali głowy króla, jako sprawcy kilkakroć wznawianeję wojny domowej,

Wyrok stanowczy zapadł: Anglia została rzeczą-
pospolitą.

Takie chwile wstrząsają naród aż do głębi; rozbudzone z uspienia siły wstępują z dolnych warstw ku górze; urodzenie traci swe prawa, zdolności duchowe stają się potęgą. Na tém opiera się szybkie wyniesienie Cromwella i Milтона.

Autor „Raju utraconego“ pochodził z poważnej powszechnie rodziny mieszczan londyńskich. Mimo prostoty i pobożności, jaką tętnił dom rodziców poety, nie był on przecie niedostępnym dla powabów sztuki. Wcześniej rozwinięte chłopię otrzymywało jaknajstaranniejsze wychowanie, a trudy rodziców i nauczycieli nagrodził zadziwiający postęp młodzieńca. Jakkolwiek podczas studyów w Cambridge zrażony został niemile szorstkością obejścia towarzyszków i suchością scholastycznej metody, mimo to przy żelaznej wytrwałości i zdolnościach, przyswoił sobie wszystkie gałęzie ówczesnej wiedzy. Starożytność rozciągała przed młodą jego wyobraźnią liczne ideały przeszłości. W prozaicznych próbach Milтона z téj epoki czuć wpływ Platona, a jednocześnie Bakona werulamskiego. Talent poetyczny rozwijał się najwięcej w następnych latach, spędzonych spokojnie, wśród przyrody, w pięknym wiejskim ustroniu ojca poety. Nad brzegiem Colney, przerywającej żyzne łąki, w pobliżu murów Windsoru, sterczących nad wierzchołkami szumiących lasów, tworzył Milton swe *Allegro* i *Il Penseroso*, dwa świetne brylanty opisowej poezji; tam również powstał *Comus*, ów słusznie podziwiany wiersz okolicznościowy i obchodowy, w którym uwydatniły się już wszystkie zalety i usterki muzy Miltonowskiej. Młody poeta tymczasem pracował z całą świadomością celu nad ustaleniem harmonii i równowagi między życiem wewnętrznym i zewnętrznym, gdyż, jak sam powiada, prawdziwy poeta powinien być zarazem prawdziwą poezją, to jest bogatym pierwowzorem najlepszych i najświetniejszych przymiotów ludzkich.

Po latach studyów nastąpiły lata podróży. Najwięcej pociągała młodzieńca południowa przyroda i klasyczna ziemia Italii. Piękny i wymowny cudzoziemiec znajdował wszędzie jaknajlepsze przyjęcie. Hugo Grotius w Paryżu, Galileusz w Arcetri zawiązali z nim poufną znajomość. Uczeń i artyści Florencji, Rzymu i Neapolu dopuścili go do swoich kół, zwiększając tém jeszcze rozkosz, jaką młodemu poecie sprawiał melodyjny język Danta i Petrarki, bujne życie południowej przyrody i liczne wszędzie twory epoki odrodzenia. Wybuch zamieszek w ojczyźnie nie dozwolił Miltonowi zwiędzić Sycylii i Grecji; zdawało mu się, jak sam powiada, niegodnym dobrego obywatela, odbywać podróże dla przyjemności wtenczas, gdy w ojczyźnie współziomkowie jego waleczą za wolność. Na Wenecję i Genewę pośpieszył przeto do kraju, gdzie zaraz po przybyciu z całym młodzieńczym zapalem rzucił się w burzliwe fale spraw publicznych. Obowiązek, tak jak on go pojmował, wymagał podjęcia walki jednocześnie w kilku zakresach; znając siebie, wiedział jednak Milton, że piórem tylko, a nie mieczem może być pożyteczny. Była-to bowiem walka o prawdę i wolność, o najwyższe dobro narodu, walka w której nie na samém tylko polu bitwy trzeba było odnosić zwycięstwa. Przy swém niezależnym stanowisku, jako nauczyciel prywatny i prywatny uczonek, miał on dość czasu do puszczenia w świat całego szeregu godnych uwagi pisemek, które pedantyczną rozwlekłością i szorstkością wysłowienia razią wprawdzie dzisiejszych czytelników, lecz ognistą namiętnością i przepychem obrazowym zdradzają poetyczną duszę autora.

W pięciu szybko po sobie następujących broszurach wyrzucił on ogniste gromy przeciw duchowienstwu, a głównie przeciw biskupom angielskim, domagając się powrotu do pierwszej myśli reformacji, która w Anglii tylko w połowie została przeprowadzoną. Ze świetną wymową wystąpił tu w obronie nienaruszalnych i nieprzedawniających się praw ducha ludzkiego, żądając między innymi wolności prasy. Jasno pojmując, że tylko moralnie wolny człowiek może być wol-

nym obywatelem, zwrócił się do badania podstaw życia rodzinnego: małżeństwa i wychowania. Nauczony własnem tragicznem doświadczeniem, przejęty wysokim moralnym znaczeniem małżeństwa, chciał on umóżyć zerwanie ciasnych węzłów, przykuwających do siebie na wieki dwie istoty, które zwykle zapóźno dostrzegają, iż w związku tym nie mogą znaleźć szczęścia. Pisma Milтона o rozwodzie doczekały się świetnego usprawiedliwienia w dalszym rozwoju prawodawstwa. Przedewszystkiem jednak żarliwy publicysta zwrócił uwagę na wychowanie młodego pokolenia. Bystry jego umysł pojął, że reforma szkół opierać się musi na reformie wychowania, że nauka języka łączyć się winna z poznaniem rzeczy, że nauczanie winno postępować od przedmiotów zmysłowych do umysłowych, i stał się tym sposobem poprzednikiem reform pedagogicznych XVIII wieku. Śmiały i stanowczy duch Milтона nie uląkł się traktowania najważniejszych kwestyj, będących wówczas na dobie. Jeszcze głowa króla nie spadła pod toporem, gdy rozpoczął pisać traktat „O prawie króla i zwierzchności“, w którym dowodami stara się uzasadnić najświętsze przywileje narodu.

(Dalszy ciąg nastąpi.).

Instynkt i inteligencya zwierząt,

przez M. N. Joly.

(Dalszy ciąg).

1) mlęcz pacierzowy, będący źródłem porużeń, objawiających się w tak ciekawy sposób u człowieka śpiącego, lub u zwierząt pozbawionych płatów mózgowych, jak na przykład chodzenie, lot, pływanie, skakanie, ruchy wykonywane dla obrony i t. p.

2) sploty podstawy mózgu, będące siedliskiem czynności *wrażeniowo-ruchowej*, to jest odruchów, zależnych od wrażeń wywartych na nerwy czucia, na przykład mruganie oczyma, kaszel i t. p.

3) półkule mózgowie, które są jeśli nie siedliskiem, to przynajmniej narzędziem, warunkiem materialnym myśli, źródłem odruchów myślowych, do których na przykład należą owe wszystkim znane myśli mimowolne, często nagabujące nas wbrew naszej woli, a od których nieraz trudno się uwolnić.

Ponad systemem nerwowym mózgowo-kregowym istnieje czynnik wolny (*a free agent*), niezależny, niematerialny, lubo tajemniczym węzłem połączony z materją. Ten czynnik, jest to *mens Rzymian*, czyli dusza *rozumna*.

Obok duszy, a raczej o wiele niżej od niej, istnieje instynkt, wogóle mało rozwinięty u człowieka, przeważający zaś u największej liczby zwierząt, zwłaszcza bezkregowych.

Z tego krótkiego zarysu poglądów Carpeutera łatwo można przekonać się o ich analogii z wyobrażeniami Descartes'a. Obaj mniemają, że w systemie mózgowo-kregowym istnieją centra ruchów odbitych czyli automatycznych, z tą tylko różnicą, że Descartes źródło zjawisk automatycznych przypisuje plynom nieujętym, subtelnym, a Carpenter i fizjologowie nowocześni wyjaśniać je chcą zapomocą ruchów molekularnych w tkankach i komórkach nerwowych... nie spostrzegając się, że w téj kwestyi mało co dalej posunęli się, niż Descartes.

Claude Bernard przyjmuje istnienie nie trzech, lecz czterech centrów nerwowych, mianowicie: wykonawcze, instynktowe, nabyte (jak np. mowa) i wyższy organ mózgowy zmysłu wewnętrznego. W bliższe szczegóły wdawać się nie będę, przechodząc raczej do faktów, stwierdzających automatyzm niektórych ruchów, uznawanych dawniej jako zależne bądź od instynktu, bądź od inteligencji.

Kilka takich faktów przytaczamy.

Göltz odjął żywej żaby obiedwie półkule mózgowie, zostawiając mlęcz kregowy nienaruszony.

Po téj operacyi żaba była nieruchomą i jakby we śnie głębokim pogrążoną; zdawało się, że jest pozbawioną wzroku, słuchu, słowem wszelkich zmysłów, z wyjątkiem dotykania. Podskakiwała bowiem za najlżejszem dotknięciem; wrzucona w wodę pływała doskonale i t. d. Podobne rezultaty otrzymali: Magendie, Flourens i Longet z doświadczeń na gołębiach, którym półkule mózgowie odjęto. Są-to jednak doświadczenia znane i opisywać ich nie będę; wspomnę o jednym tylko, przed niedawnym czasem odbytem, które jest podwójnie ciekawem: najprzód co do zjawisk automatyzmu, a powtóre pod względem możliwości odrastania mózgu, co dopiero przy tém doświadczeniu po raz pierwszy stanowczo dowiedzionem zostało.

Vogt z Monachium odjął gołębiowi jaknajdokładniej obie półkule mózgowie. Natychmiast po operacyi gołąb zamknął oczy, schował głowę pod skrzydelko i wpadł w stan odrętwienia, do snu podobny. Po kilku tygodniach obudził się i zaczął podlatywać, omijając przeszkody i unikając ręki, chcąc go schwytać. Jadł, ale trzeba mu było kłaść ziarna w dziobek. Popęd płciowy objawiał się żywo, ale bez siły uczynienia mu zadość, i ten symptomat skutków operacyi trwał najdłużej ze wszystkich. Po pięciu miesiącach gołąb wrócił prawie zupełnie do stanu normalnego; w tym czasie czaszka jego była napelniona substancją białą, podobną do materji mózgowej i mającą kształt półkul odjętych. Mózg zatem odnowił się i napowrót zaczął pełnić swoje funkcyje, ale zanim odrośnięcie nastąpiło, gołąb wykonywał ruchy tylko automatyczne i zupełnie bezwiedne.

Ponieważ ten rodzaj ruchów istnieje i u człowieka, będącego w stanie zdrowia normalnym, przeto po obrażeniu mózgu w sposób podobny do tego, jak Flourens, Magendie, Longet i Vogt czynili z gołębiami, ruchy automatyczne powinny i u człowieka objawić się tém silniej i wybitniej.

Oto przykład, który zyskał rozgłos w całej Europie.

W bitwie pod Bazeilles pewien żołnierz francuzki został ugodzony kulą, która mu zgruchotała lewą kość ciemieniową. Miał wszakże jeszcze tyle siły, że przebił przeciwnika bagnetem i uszedł około dwustu metrów za wioskę, poczem padł zemdlony. Znaleziono go i zanieśiono do szpitala, gdzie okazało się, iż cała prawa strona ciała jest sparaliżowana. Po dwóch latach żołnierz ów wyzdrowiał prawie zupełnie. Mówię *prawie* zupełnie, gdyż w każdym miesiącu, przez dni 27 lub 28, żołnierz ów (który został dozorcą szpitalnym) pełnił swoje obowiązki dokładnie, gorliwie i rozumnie, a potem nagle, bez żadnych symptomatów poprzednich, wpadał w stan dziwny, anormalny.

„Jest-to—mówi Huxley—napozór ten sam człowiek; chodzi, krząta się, zdejmuje odzież, kładzie się, wstaje, skręca papierosa, pali go, je i pije. Ale przy tém wszystkiem nie widzi, nie słyszy, nie ma smaku i powonienia, wogóle nie ma świadomości o niczem; jeden tylko organ zmysłowy jest w nim czynny, mianowicie dotykanie, które nawet stało się nad podziw subtelne. Jeśli mu postawić jaką przeszkodę w drodze, to potrąca się o nią, dotyka jej i idzie w bok; jeśli go popchnąć w jakim kierunku, to idzie w linii prostej, dopóki go jakakolwiek przeszkoda nie wstrzyma.

„Mówiłem że skręca papierosa, ale możecie mu dać szarpie zamiast tytoniu, lub cobądź innego, a on i z szarpi zrobi papierosa. Czynności jego są czysto mechaniczne: je na przykład z wielkim apetytem, ale dajcie mu aloes, asafetydę lub najwykwintniejszą potrawę, a będzie wszystko zajadał jednakowo.“

Z tego opisu widziemy, że stan owego żołnierza jest taki sam, jak stan żaby operowanej przez Göltza, lub gołębia Vogta. „Niema wątpliwości—dodaje Huxley—że funkcyje jego półkul mózgowych są po części zniweczone.“

Podobne, a nawet jeszcze dziwniejsze fakta można zaobserwować u zwierząt bezkregowych. Do niedawna jeszcze mniemaliśmy, że odkrycia tego rodzaju należą wyłącznie do nowszych cza-

sów; tymczasem o jednym z takich wypadków wspomina św. Augustyn. Jeden z jego przyjaciół przeciął na dwoje owad, z gatunku stonogów. Natychmiast obie połowy zaczęły iść w kierunkach wprost przeciwnych, szybko i bez potykania się, omijając przeszkody. Każda połowa, znów przecięta na dwoje, też samo przedstawiała zjawisko.

Znacie zapewne, czytelnicy, owad zwany *modliszką* (mantis religiosa). Przetnijcie go na trzy części, to jest oddzielcie głowę, odwłok i tułów, a za dotknięciem każda część wykonywać będzie właściwe sobie ruchy tak, jak gdyby owad był cały.

Te fakta są wymownym dowodem, że sploty, tworzące łańcuch nerwowy podbrzusny, są cechami odruchów automatycznych, z wyjątkiem splotów głowy, z kąd wychodzą nerwy należące do głównych organów zmysłowych i gdzie prawdopodobnie wola bierze początek. Zobaczmy poniżej, w jaki sposób te spostrzeżenia wyjaśniają pojęcie *automatyzm bezwzględny* Descartes'a, lub *automatyzm polowiczny* Carpentera i Huxleya.

Po tym ustępie, nieco może przydługim, ale niezbędnym dla przedmiotu, przedstawimy pokrótce poglądy Buffona na przyrodę zwierząt. Według niego, wszelka czynność zwierząt daje się wytłumaczyć zapomocą wstrząśnień mechanicznych, którym ulega zmysł wewnętrzny (materyalny), pod wpływem przedmiotów zewnętrznych. Sam zaś człowiek tylko posiada zmysł wyższy, niematerialny, duszę, podstawę świadomości myśli i postępu.

Posłuchajcie na przykład Buffona, gdy usiłuje wytłumaczyć postępowanie psa, który nęcony głodem, a wstrzymywany obawą kary, łasi się panu, dla otrzymania kawałka mięsa.

„Pies niewątpliwie rzuciłby się natychmiast na to mięso, gdyby jego zmysł materyalny wewnętrzny, silnie wstrząsany przez głód, nie przechował był wrażenia bólu, jakie poprzednio temu czynowi zawsze towarzyszyło. Wrażenia poprzednie zmieniły w części naturę zwierzęcia: ten kawałek mięsa widzi przed sobą nie pies poprostu, ale pies obity niejednokrotnie. A ponieważ bito go za każdą razą, gdy szedł za popędem głodu, przeto wrażenie bólu odnawia się razem z doznaniem wstrząśnieniem głodu, ponieważ oba te wstrząśnienia i poprzednio zawsze razem się objawiały. Zwierzę przeto, odbierając równocześnie dwa impulsy w kierunkach przeciwnych, a więc znoszące się, zostaje w równowadze między dwiema siłami i nie ruszy się z miejsca, aby głód zaspokoić. Lecz podczas gdy wstrząśnienia głodu i wstrętu, lub, mówiąc inaczej, przyjemności i bólu, istnieją razem w stosunku wprost przeciwnym, który niweczy ich skutki, równocześnie w mózgu zwierzęcia odnawia się wstrząśnienie trzecie, które często dwom pierwszym towarzyszyło; jest-to wstrząśnienie spowodowane czynem pana, z którego ręki nieraz otrzymywał kąsek, stanowiący przedmiot jego żądzy; a ponieważ to trzecie wstrząśnienie nie jest niczem zrównoważone, przeto staje się przyczyną ruch wywołującą. Pies zatem pobiegnie ku swemu panu i nie przestanie się poruszać, dopóki głodu w całości nie zaspokoi.“

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Opozycja w Rzymie za cesarów.

(Opozycja możnych.)

Przez Gastona Boissier.

(*Dalszy ciąg.*)

Temu despotyzmowi, niespokojnemu i pewnemu sobie, odpowiadała w zupełności opozycja niezdecydowana, skryta, więcj kłopotliwa, niż skuteczna, bez spójności i bez zasad. Nie stawiano jej regularnie i jawnie; nie pochodziła ona od ciał politycznych, od senatu, ani od ludu. Lud, prawdę powiedziawszy, od czasu Cezara nie wchodził już w rachubę. Dość ruchliwym był on jeszcze za czasów Augusta; ale jeżeli się burzył, to nie w obronie, ani też w celu rozszerzenia praw

swoich. Dio powiada, że pewnego dnia zbuntował się, w celu zmuszenia Augusta do przyjęcia dyktatury. Bunt tego rodzaju, z łatwością tłumione, nie były bez pożytku dla cesarstwa: napędzały strachu ludziom spokojnym i łączyły ich ściślejszymi węzłami z panującym, który uspokojenie rozruchów brał na siebie. Za Tyberysusa nominacja urzędników z rąk ludu przeniesiona została w ręce senatu; lud pogodził się z tym z taką łatwością, że w kilka lat później, kiedy Kaligula chciał znów zwołać komicye, nikt nie przyszedł głosować i trzeba było wrócić do tego, co zrobił Tyberysus. Odtąd lud wpada w gniew tylko wtedy, gdy chleb zaczyna być zadrogim, a igrzyska zanadto rzadkiemi. Nie upomina się o wolność, ale pod względem rozrywek jest nieublaganym. Chce żeby go bawiono i pozwala sobie być wybrédnym w wyborze zabaw, jakie mu ofiarują. Bywa też niekiedy wymagającym i krnąbrnym w teatrze; jest-to jedyne miejsce, w którym śmie jeszcze być wolnym. Tutaj nie poczuwa się do obowiązku pochlebiania panującemu i nie robi sobie najmniejszego skrupułu z wygizdania gladyatora, lub woźnicy ulubionego cesarowi. Wogóle cesarze obchodzą się z nim bardzo pobłażliwie, znoszą jego wybryki i ustępują mu, ilekroć tylko mogą. Za Tyberysusa lud rozgniewał się pewnego dnia o to, że zabrano piękny posąg Lizyppa, zdobiący łaźnie publiczne, dla umieszczenia go w pałacu; Tyberysus, choć był wielkim nieprzyjacielem ludu, oddał posąg czempredzej. Pozwalano nawet czasem wygadać się ludowi swobodnie, a ponieważ nie był ani podejrzanym, ani groźnym, więc nie karano go za śmiałe nieraz wyrażenia. Kaligula, który lubił przebierać się za bożka i stawać w jednej z nisz kapitolin-skich, obok Jowisza, żeby mu pobożni cześć oddawali, spostrzegł pewnego razu jakiegoś Galla, który się śmiał i zapytał się go, jak też w jego oczach wygląda? „Jak wielki głupiec,“ odrzekł Gall, i nie mu się za to nie stało, był-to bowiem szewc, a tylko ludzi z dobrego domu uważano za niebezpiecznych. Zresztą wiadano, że mimo przemijających wybuchów, lud przychylnym był cesarstwu. Pomagał do jego narodzin, ciągnął zeń nieposłednie korzyści, a cesarze nie potrzebowali się lękać wśród niego malkontentów.

Straszył ich głównie senat, który zachował część dawnego uroku, a oczy całego cesarstwa na niego były zwrócone. Do utwierdzenia wiary w jego znaczenie przyczyniały się też oznaki uszanowania, które mu cesarze sami pozornie okazywali. August i Tyberysus obsypywali go niem; udawali że są tylko sługami senatu. To też ci, co patrzyli na rzeczy zdaleka i sądzą z pozorów, to jest znaczna większość, poczytywali go za rzeczywście wszechmocny. Cesarze, widząc taką jego powagę, nie mogli pozbyć się trwogi, którą ich mimowolnie przejmował, a mogąc znęcać się nad nim bezkarnie, nie oszczędzali go bynajmniej. Na senat też spadał zawsze ich gniew, a tyrania ich z pomiędzy samych senatorów prawie wybierała sobie ofiary. Nieszczęśliwi, wiedząc co im grozi, przepędzali żywot wśród ciągłej trwogi. Zdarzyło się, że jeden z nich umarł ze strachu na posiedzeniu senatu, usłyszawszy nieco przykre słowo z ust Tyberysusa. Niepodobna było oczekiwać od tych wystraszonych ludzi oporu jawnego. To też nie było przykładu, żeby senat sprzeciwił się kiedykolwiek cesarzom, owszem, przesadzał się na pochlebstwa dla nich. „Nie było tak drobnego interesu — mówi Pliniusz Młodszy — żeby który senator, wezwany aby wypowiedział swoje zdanie, pominął tę sposobność i nie rozwiódł się z pochwałami monarchy. Chodziło dajmy na to o powiększenie liczby gladyatorów, o utworzenie jakiegoś kolegium rzemieślniczego, a my zaraz, jak gdyby granice państwa zostały rozszerzone, uchwalaliśmy łuki tryumfalne ogromnej wielkości i napisy, których frontony świątyni pomieścić nie mogły.“ Prawda, że skoro tylko cesarz umarł, senat podnosił głowę: obalał jego posągi, potępiał jego pamięć, mszcząc się za długo przecierpianą niewolę. Nowy też monarcha, który zniewagi wyrządzone swoim poprzednikiem uwa-

żał za rodzaj pochlebstwa dla siebie, nie przeszkadzał im w tém bynajmniej. Zdarzało się nawet niekiedy, że senatorowie zapędzali się dalej: w zapale zemsty, czepiali się ulubieńców poprzedniego władcy, przypisywali sobie prawo ścigania i sądzenia, a zachęceni przez ludzi uczciwych, którzy przyklaskiwali tej budzącej się energii, zdawali się sięgać po dawną władzę — ale to nie podobano się naturalnie nowemu cesarzowi, który też niebawem wolę swoją w tej mierze objawiał. Zwykle dość było jednego słowa, żeby powstrzymać ten zapęd chwilowy; senat, według swego zwyczaju, wracał do posłuszeństwa na pierwsze skinienie i poddając się bez szemrania, padał nanowo w drżączkę i służalstwo.

II.

A jednak między tymi to właśnie bojaźliwymi urzędnikami i wystraszonymi optimatami znajdowali się malkontenci. W senacie obsypywali cesarza pochlebstwami i ubiegali się o prym w nadskakiwaniu; ale gdy sądzili że nikt ich nie słyszy, mówili inaczej. Napisy, medale przechowywały nam pamięć tych tytułów kłamliwych, które im szafowali dla najgorszych władców; ale warto także wiedzieć co też mówili, gdy ośmielili się być szczerymi. Na nieszczęście nie tak to łatwo. Kryjąc się wszelkimi sposobami przed policją cesarską, ukryli się zarazem i przed naszą ciekawością. Ażby mówić swobodnie, chowali się w takie ustronia, że dzisiaj nietylko ich niepodobna usłyszeć, ale nawet trudno znaleźć. Trzeba przebieść cały Rzym, chcąc ich odszukać.

Na szczęście, w poszukiwaniach naszych mamy ważną wskazówkę, której nam dostarczył Tyberysus. Monarcha ten, podejrzliwy a domyślny, musiał wiedzieć gdzie się kryją jego nieprzyjaciele. Tacyt kładzie w jego usta te wyrazy: „Wiem że się rozwodzą ze skargami na biesiadach i zebraniach, *in convivis et circulis*.“ Też same wyrazy, w podobny sposób połączone, znajdujemy u pisarzy łacińskich. Cycero powiada nam, że w chwili pierwszego tryumwiratu, kiedy koalicja demokracji z mężem rycerskim oddała władzę w ręce kilku ludzi ambitnych, miejsca publiczne zaniemiały, a ludzie uczciwi nie śmieli się odzywać, „chyba na zebraniach i na ucztach.“ Jest on tém wielce zgorszony i ta opozycja trwożliwa nie zadawała go wcale. Wié o tém, jak dalece jest ona bezsilną i że „kasa raczej, niż rozdziéra.“ Żaluje tej epoki, w której sprawy traktowane publicznie, na forum, w której dobrzy obywatele, zamiast jęzcć między czterema ścianami, wstępowali na trybunę i przed całym ludem oskarżali nieprzyjaciół rzeczypospolitej, tak jak on sam postąpił sobie z Katyliną i Antoniuszem. Ale te wielkie wybuchy gniewu nie były już na czasie pod rządem który się poczynał. Potrzeba było być skromniejszym, ostrożniejszym, i poprzestać na objawach złego humoru w obecności kilku dyskretnych przyjaciół.

Cóż to więc były owe uczy i owe zebrania, na których pozwalano sobie szarpać Tyberysusa? Nie potrzebujemy zastanawiać się bliżej nad ucztami; wiadomo jakie znaczenie miały w życiu Rzymian wszelkiego stanu te zgromadzenia przyjaciół i towarzyszy, które tak się w Rzymie zagęściły. Rocznie rodzinne, uroczystości religijne, potrzeba naradzenia się razem nad wspólnymi interesami, kiedy się należało do jednego kolegium, albo poprostu chęć weselszego przepędzenia żywota, rozmnożyły je bez miary za czasów cesarstwa. Ludzie dystyngowani szukali w nich mianowicie sposobności porozmawiania swobodnie z przyjaciółmi. W rozmowach tych, fantastycznych niekiedy i niekończących się nigdy, nie zapomniano, ma się rozumieć, i o polityce; polityka ta, o której rozprawiano po obiedzie, gdy wpływ libacyj ożywiał biesiadników i rozwiązywał im języki, niezawsze bywała przyjazną cesarskiemu rządowi. Podczas jednej-to z takich uczt pretor Antistius odczytał obelżywy wiérsz na Nerona, za który skazany został na wygnanie.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)